Rok XIV. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał I.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

Dzieje Zgromadzenia w Portugalii str. 1.
Historya Zgromadzenia w Irlandyi, str. 11.
Ks. Jan Claverie, str. 19.
Jubileusz Najświętszej Panny z Lourdes w Krakowie na Kleparzu, str. 35.
Kronika, str. 50.
Pro memoria, str. 61.
Zmarli Misyonarze, str. 63.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1908 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Dzieje Zgromadzenia w Portugalii.

Rewolucya francuska, jak w następstwach swych wstrząsnęła całą Europą, tak sięgnęła i do Portugalii. Za nieszczęśliwą obłąkaną matkę, królową Donnę Maryę sprawował rządy jej syn, późniejszy król Jan VI. (1816—26). Anglia, która już od r. 1703. przez t. zw. układ Methuena przyprawiła o upadek światowy handel starej Portugalii, zawładnęła nią zupełnie i wciągnęła we wir walk koalicyjnych z Napoleonem I. Zepsucie szlachty i sfer rządzących wystąpiło i tu w całej pełni. Racyonalizm i niewiara wieku XVIII. w połączeniu z masoneryą wykorzeniwszy ze serc wiarę, pozbawiły stany wyższe i miłości ojczyzny. Z Francyi tłumnie uciekała szlachta za granicę, Polska upadła wskutek bezczynności szlachty i braku poświęcenia dla Ojczyzny, książęta niemieccy rozbili Rzeszę i kornie drogą przekupstw błagali Napoleona o tytuły i zaszczyty poniżając własną godność, minister Godoy i kortezy zdradzili Hiszpanię, lecz zgoła niesłychany obrót rzeczy miały przybrać sprawy polityczne w Portugalii. Chcąc pokonać Napoleona, trzeba było sięgnąć do ludu, trzeba było wojnie nadać charakter narodowy, skoro prostą polityką nie można było zażegnać burzy wojennej. Wtedy dopiero pokonano Napoleona, lecz wśród tych walk odżył i duch wiary i przyszedł do rozkwitu na początku wieku XIX. I odległa Portugalia była widownią walk koalicyjnych, stanowiąc z Gibraltarem i Maltą trzy punkta operacyjne dla floty angielskiej na Morzu Śródziemnem. Już w roku 1801. z rozkazu Napoleona Godoy wydaje wojnę Portugalii i zmusza króla Jana do zamknięcia portów dla Anglii. Lecz ramię Napoleona nie sięgało do Portugalii, która jedyna opierała się blokadzie

kontynentalnej wielkiego władcy. Zresztą Anglicy rządzili już krajem zupełnie. Wskutek tego w 1807 r. ogłosił Napoleon detronizacyę regenta Jana i powierzył jenerałowi Junot zdobycie Portugalii. Ten z 28,000 wojska przeszedł cały półwysep pirenejski i po niesłychanych trudach z tysiąc pięciuset żołnierzami zdobywa 30 listopada 1807 r. Lizbonę bez wszelkiego rozlewu krwi. Jakiś paniczny strach przed niezwyciężonemi wojskami Napoleona udzielił się narodowi i mieszkańcom stolicy. Tchórzliwi, a na ich czele sam regent Jan, uciekli w pośpiechu na angielskie okręty. Ucieczka przybrała ogromne rozmiary. Zwątpiwszy w ratunek ojczyzny, 15,000 tysięcy narodu, szlachty i dworzan wyjechało do dalekiej Brazylii na kilkudziesięciu okrętach. Król Jan, ustępując z ojczyzny, zabrał insygnia królewskie, wszystkie skarby po swych przodkach i połowę gotówki z kasy państwa. Ustępując do największej kolonii, pozostawił król ojczyznę pod rządami rejencyi t. j. arcybiskupa — patryarchy Lizbony i angielskiego dowódcy wojska portugalskiego. Niebawem Anglicy, zagarnąwszy pod lordem Wellingtonem władzę w swe ręce, przy pomocy swego wojska i pospolitego ruszenia portugalskiego wyparli jenerała Junot z Portugalii, lecz kraj się jeszcze długo nie uspokoił. Napoleon, stłumiwszy krwawo powstanie hiszpańskie, usiłuje ponownie pod jenerałem Soult'em zdobyć Portugalię; lecz i tego wypiera z kraju zwycięski Wellington. Ten sam los spotkał jenerałów: Massenę, Neya i Marmonta. Wśród walk spustoszono doszczętnie północną Portugalię; Coimbrę i wiele innych miast, chcąc ogłodzić Francuzów, przemienił Wellington w kupę gruzów, zmuszając mieszkańców pod karą śmierci do opuszczenia swych siedzib. Kongres wiedeński, uspokoiwszy Europę, i Portugalii pozwolił odetchnąć na lat kilka.

Wśród zawieruchy wojennej i losy naszego Zgromadzenia uległy w Portugalii najzupełniejszej zmianie. Wogóle, aż do rządów jenerała Etienne'a, stosunki w prowincyi portugalskiej wskutek ciągłych rewolucyi w kraju są pogrążone w najzupełniejszym rozstroju. Prowincya, tak rozkwitła w II.

połowie 18 w., rozprasza się zupełnie i traci świadomość jedności. Misyonarze tracą domy w północnej Portugalii i utrzymują się jeszcze w Lizbonie. W niepewności i udręczeniu zwrócili się o pomoc do wikaryusza generalnego Zgromadzenia księdza Dominika Hanon. Ten wyrobił im u wuja Napoleona, kardynała Fescha, listy polecające do jenerała Junot i to obroniło ich dom przed napadami i rabunkiem, jak o tem nadmienia okólnik z 1809 r. Ogólnego położenia Zgromadzenia nie można było naprawić wobec tego, że wogóle stosunki kościelne w całej Europie doznały radykalnej zmiany, a Zgromadzeniem rządził nie generał ale dwaj wikarzy generalni, z których jeden mieszkał w Rzymie a drugi w Paryżu. Wobec niepewności i ciągłych rabunków stolicy i Misyonarze niektórzy poszli za ogólnym prądem i kilkunastu z nich w r. 1810. wyjechało do Brazylii, dokąd się skierowała fala portugalskich emigrantów. Wśród Misyonarzy najwybitniejszymi byli: Castro, późniejszy wizytator prowincyi brazylijskiej, Wincenty Ferrera, potem biskup miasta Mariana, Macedo i inni. Wylądowawszy, udali się na dwór królewski do Rio de Janeiro. Król Jan VI. przyjął życzliwie emigrantów i osiedlił ich w mieście Caraça w Minas Geraës. Ciekawe są dzieje tej kolonii, którą teraz otrzymali Misyonarze w posiadanie. Caraça założył pewien szlachcic portugalski, o tajemniczej przeszłości, który skompromitowany politycznie w ojczyźnie, uciekł do Brazylii. Tu zmienił swoje życie zupełnie. Z awanturnika stał się pokutnikiem i rzuciwszy świat i życie w stolicy Brazylii, ustąpił w dziką i niedostępną dolinę, dokąd chronili się zbiegli z plantacyi cukrowych murzyni. Pod imieniem brata Wawrzyńca zasłynął jako pokutnik wśród okolicznych mieszkańców, którzy coraz liczniej napływali do jego pustelniczej groty. Z ofiar pobożnego ludu przy pomocy swych licznych towarzyszy zbudował tu brat Wawrzyniec mały kościółek na cześć N. Maryi Panny i założył bractwo i odtąd miejscowość ta stała się celem licznych pielgrzymek z dalekich nawet stron, a rząd kolonii nadał okoliczną ziemię członkom

bractwa. Zwolna jednak ostygł zapał tłumów, w dodatku opuściło kilkunastu braci Wawrzyńca, tak że zniechęcony tem pokutnik zapisał swą pustelnię i kolonię królowi Janowi VI. świeżo przybyłemu do Brazylii. Tę to kolonię wraz z kościółkiem N. Maryi Panny oddał teraz król przybyłym konfratrom; obszar ogromny, bo wynoszący trzy mile średnicy, należał również do Caraça. Dzięki intenzywnej pracy misyjnej Misyonarzy, rozeszła się sława cudownego miejsca po całej Brazylii. Ks. Castro, późniejszy pierwszy wizytator brazylijski, poświęcił całą swą energię erekcyi nowego domu. Wystawił najpierw obszerny kościół, który nieustannie zapełniali pielgrzymi; nadto samo miejsce cudowne uczynił przystępniejszem, gdy założył wygodną szosę i wybudował kilka mostów nad rzekami i przepaściami. Wystawił obszerny dom Zgromadzenia i szkołę dla chłopców w rodzaju Kolegium, do którego uczęszczali synowie członków konfraternii pustelnika Wawrzyńca. Niestrudzony ks. Castro założył nawet seminaryum, w którem liczba seminarzystów doszła do dwudziestu. W uznaniu zasług ks. Castro, który poprzednio założył wielkie cesarskie kolegium w Rio de Janeiro, chciano go zrobić biskupem, lecz on, pragnąc poświęcić się Zgromadzeniu, schronił się właśnie do zacisznej kolonii Caraça, gdzie tak błogą rozwinął działalność. Z Portugalii znowu znaczna liczba Misyonarzy napłynęła w 1819. r. do Brazylii. Po śmierci ks. Castro sława kolonii Caraça chyli się do upadku, mimo usiłowań ks. Ferrery biskupa Maryany i ks. Moraës de Torres. Długie odosobnienie, brak łączności z naczelną władzą Zgromadzenia, wymieranie starszych emigrantów portugalskich, zniechęcenie młodszych księży, wszystko to spowodowało zastój w pracy i prowincya portugalska, zrazu tak rozkwitła, zaczyna się chylić do upadku. W roku 1843 zamknięto kolegium za Caraça, dom Zgromadzenia stał w ruinie, a szosa wskutek ulew i bujnej roślinności znikła zupełnie. Konfraternia popadła w spór z Misyonarzami i świątynia Matki Boskiej opustoszała. Tak więc mimo całej energicznej pracy początkowej Misyonarze nie mogli położyć

trwałych podwalin w Brazylii, którą ogarnął, jak całą południową Amerykę, duch rewolucyi przeciw krajom macierzystym i podziemna robota masoneryi, do której przyłączyły się prawie wszystkie konfraternie czyli bractwa kościelne, tak hojnie wyposażane przez królów dziewiczą ziemią w głębi Brazylii.

O ile stosunki polityczne w Brazylii zmieniły się na gorsze pod wpływem prądów rewolucyjnych, o tyle w Portugalii uległy najzupełniejszej zmianie i wyrodziły się poprostu w zupełną walkę z Kościołem i nie możemy się dziwić konfratrom emigrantom z 1810. r., że powrót swój do ojczyzny wobec ciągłych przewrotów opóźniali, aż prawie wszyscy wymarli, poświęcając się więcej doraźnej pracy duchowieństwa świeckiego niż obowiązkom swego powołania.

W niemniejszem zamieszaniu pozostawały stosunki polityczne i kościelne w samej Portugalii. Kraj cały ogarnął duch rewolucyi, który do dnia dzisiejszego wstrząsa królestwem i przyprawił o zupełny upadek starą Portugalię. Po upadku Napoleona król Jan VI. nie myślał o powrocie do Lizbony, powierzywszy rządy kraju lordowi Beresfordowi i Anglikom, którzy ostatecznie wyparli wojska francuskie z kraju. Król Jan VI. był władcą niedołężnym i sprawcą wszelkiego nieszczęścia w Portugalii; usposobiony wrogo dla Kościoła, bo rządy kraju mieli Anglicy w swych ręku, już w 1805 r. został upomniany przez papieża Piusa VII.; lecz tchórzliwa ucieczka do Brazylii w 1807. r. dopełniła miary zniechęcenia narodu. Rolnictwo, przemysł i handel upadły zupełnie, lub były w ręku Anglików. Kolonię t. j. Brazylię uwzględniano więcej niż kraj macierzysty; to, jako też i oburzenie na okrutne rządy obcokrajowców a zwłaszcza lorda Beresforda, dały hasło do wybuchu rewolucyi w roku 1820. Prowizoryczny rząd rewolucyjny zażądał od Jana VI. natychmiastowego powrotu z Brazylii lub wysłania następcy tronu. W roku 1821 przybił król Jan VI. zaledwie w otoczeniu swej świty do brzegów Portugalii, lecz nie pozwolono mu wylądować, dopóki nie zaprzysiągł spisanej przez kortezów

wielce liberalnej konstytucyi. Ponieważ nie uwzględniono dostatecznie w niej Brazylii, ludność tego kraju obwołała cesarzem Dom Pedra, następcę tronu i w ten sposób na trwałe odpadła kolonia od metropolii. Lecz i to nie uspokoiło Portugalii. Przeciw liberalnej i krzywdzącej Kościół konstytucyi oburzał się młodszy syn króla Dom Miguel i jego matka Karlotta, z którą się rozwiódł stary król. Cały kraj pokrył się siecią związków wolnomularskich, gdzie brały początek wszelkie spiski i bunty, ilekroć król zamierzał Kościołowi nadać większą wolność. W 1826. r. umiera Jan VI. Cesarz brazylijski Dom Pedro ogłosił się królem Portugalii, wkońcu zrzekł się korony na rzecz swej córki Maryi da Głoria, której na przyszłego męża przeznaczył brata swego przyrodniego Dom Miguela. Ten objął rządy w 1828. r., za zgodą kortezów zniósł liberalną konstytucyę, nadał Kościołowi wolność i sprowadził do Portugalii zakon Jezuitów. To wystarczyło, że liberalizm i masonerya okrzyknęła go tyranem i przypisywała mu niesłychane zbrodnie, choć król z przekonania bronił Kościoła i zamierzał wyswobodzić Portugalię z pod ekonomicznej przewagi Anglików. Wygnany z Brazylii, Dom Pedro stanął na czele malkontentów i rozpoczął bratobójczą wojnę domową przy pomocy Anglii i Francyi. Dom Miguel pobity pod Thomar w r. 1834. zrzekł się pretensyi do tronu i ustąpił z Portugalii na zawsze. Teraz nastały dla kościoła katolickiego straszne czasy w Portugalii, wobec których bledną występki Pombala. Liberalizm i masonerya dokonały ohydnej zemsty. Wypędzono z kraju Jezuitów, papieskiego Pronuncyusza i zerwano stosunki z stolicą Apostolską. Król zniósł zakon rycerski i wszystkie klasztory męskie, żeńskie i dobroczynne instytucye i skonfiskował ich majątek na rzecz kasy państwowej. Dla ścisłego dozoru Kościoła ustanowiono komisyę „reformy kościelnej“ i tylko za zezwoleniem rządu mogli kapłani udzielać sakramentów świętych. Wielu zakonników jako zwolenników Miguela rozstrzelano bez wszelkiego sądu. W dodatku udało się rządowi masońskiemu do tego doprowadzić, że

i znaczna część duchowieństwa, a nawet i biskupi zarazili się masoneryą, co sprowadziło upadek ducha i wszelkiego życia kościelnego. Schizma nawet zagrażała kościołowi w Portugalii. To samo działo się i w Brazylii. Wobec tak smutnego stanu rzeczy w r. 1862. papież Pius IX. wydał encyklikę do biskupów w Portugalii, w której zarzuca im opieszałość, powolność dla masońskiego rządu i brak czujności pasterskiej w sprawach Kościoła. To sprowadziło pewną, choć bardzo nieznaczną poprawę stosunków kościelnych, które papież Leon XIII. przez cirkumskrypcyę i częściową redukcyę dyecezyi uregulował w r. 1881. Zresztą do dnia dzisiejszego dzierży ster rządów liberalizm i masonerya w tym kraju, wywołując nieustanne rewolucye wojskowe, których ostatnim epilogiem było tegoroczne zamordowanie króla i następcy tronu.

Wśród takich wstrząśnień i dzieje Zgromadzenia uległy zmianie. Przewroty polityczne podzieliły prowincyę portugalską na dwie t. j. brazylijską i prowincyę kraju macierzystego. Wskutek braku duchowieństwa świeckiego, a później jeszcze więcej wskutek jego upadku i wskutek ogólnego rozstroju politycznego, konfratrzy tracą poczucie łączności tak z władzą naczelną w Paryżu, jakoteż i z prowincyą własną i poświęcają się doraźnej pracy duchowieństwa świeckiego na wybitnych stanowiskach a nawet na biskupich stolicach tak w Brazylii jak i w Portugalii. Nie możemy też mówić o rozwoju prowincyi portugalskiej w tym okresie i raczej wyszczególnimy usiłowania pojedynczych Misyonarzy, którzy wśród ogólnego rozstroju ratują Zgromadzenie, dopóki pod rządami generała ks. Etienne'a nie przyszło do zupełnej restauracyi prowincyi w 1857. r.

Zarząd tak rozstrzelonej wskutek wojen napoleońskich prowincyi, przedstawiał niemałe trudności. Już i rządy dwóch generalnych wikaryuszów w Zgromadzeniu od r. 1800. utrudniały i wikłały w niem jedność, aż tu nagle, z własnej inicyatywy, zapewne wskutek ogólnego rozstroju stosunków kościelnych, delegat Apostolski w Lizbonie Wincenty Macchi

zamianował sobie księdza Antoniego Martinsa, asystenta domowego w Lizbonie i radcę prowincyonalnego, apostolskim wikaryuszem Zgromadzenia Misyi na Portugalię z władzą generała bez lub z kilku asystentami w r. 1812. Dla świętej zgody zdaje się nie zaprotestowali przeciw tej uzurpacyi wikaryusze generalni Zgromadzenia i ks. Martins rządzi prowincyą portugalską do r. 1819. Po nim następuje w urzędzie wizytatora prowincyi i superyora domu lizbońskiego ks. Józef Antoni da Silva Rebello, zamianowany już przez wikaryusza generalnego Zgromadzenia ks. Baccari z Rzymu. Za rządów ks. da Silva Rebello, wielu Misyonarzy, zwątpiwszy o poprawie stosunków w ojczyźnie, opuściło we wrześniu 1819. r. samowolnie swoje stanowiska i przeniosło się do Brazylii.

W r. 1828. objął urząd wizytatora prowincyi ks. Jan Tymoteusz da Silva, zatwierdzony najpierw przez wikaryusza ks. Baccari, a później przez jenerała Zgromadzenia ks. de Wailly. Teraz rozpoczyna się zwrot ku lepszemu. Najpierw rządził krajem sprzyjający kościołowi Dom Miguel, a po drugie i stosunki w Zgromadzeniu już się ustaliły. Nowy wizytator miał obszerną władzę i prawdopodobnie dążył do zjednoczenia rozbitej prowincyi, skoro w księdze rozporządzeń przy wizycie domu w Sernache w r. 1829. pisze: „My, wizytator Zgromadzenia Misyi w Portugalii, podniesionej do rzędu samodzielnej prowincyi przez konwent generalny z 15. maja 1829. r., jakoteż komisarz generalny wszystkich domów zamorskich w Makao, Brazylii, które obecnie istnieją albo założone zostaną i t. d. W rzeczy samej, po długich naradach już w 1788. r., a obecnie w 1829. r. ukonstytuowała się Portugalia jako osobna prowincya w Zgromadzeniu. Po śmierci ks. da Silvy, zamianowany został wizytatorem ks. Józef Antoni de Magalhaes w 1832. r. Za niego to spadły ciosy prześladowania i zniszczenia na Zgromadzenia w Portugalii. Wśród walk Dom Miguela i Dom Pedra wojska zdobyły stolicę 25. lipca 1833. Stronnicy Dom Miguela ustąpili a żołdactwo, złożone z awanturników wszystkich narodów, rozlało się po stolicy łupiąc, i mordując przeciwni-

ków Dom Pedra, a zwłaszcza duchowieństwo zakonne. Rozporządzeniem z 5. sierpnia 1833 r. zniósł Dom Pedro wszystkie klasztory i zabronił przyjmowania nowicyuszów, a dawnym zakonnikom kazał natychmiast opuścić zabudowania klasztorne. Cały szereg nowych praw skrępował zupełnie kościół portugalski, a nuncyusza papieskiego wydalono. Zgromadzenie nasze zostało temsamem zniesione. Bliższe okoliczności zniesienia opisuje nam okólnik generała ks. Salhorgue z 1834. r.: „Od 24. lipca zeszłego roku inny władca przyszedł do steru rządów w Portugalii. Tyle tylko się dowiedziałem z Lizbony od naszych konfratrów, że wiele wycierpieli podczas zmiany rządów. Wojsko otoczyło dom 27. lipca 1833. r. i pod grozą uwięzienia lub rozstrzelania zmuszono księży do zdjęcia sukni kapłańskich i opuszczenia domu. Wizytator tej prowincyi sądził, że trzeba dom opuścić; inne domy Zgromadzenia są na razie nietknięte przynajmniej do tej chwili".

Misyonarze opuścili dom w Rilhafolles, jako też inne domy po prowincyach. Dom centralny stał pustkami czas dłuższy a żołdactwo rozkradło całe urządzenie wewnętrzne domu. Nie ulega wątpliwości, że z obawy rozstrzelania lub uwięzienia, konfratrzy zbyt pospiesznie opuścili dom prowincyonalny, zostawiając na łup żołnierzy wszystkie jego skarby a nawet pewną gotówkę. Po ochłonięciu ze strachu wrócili niektórzy i uratowali przed rabunkiem przynajmniej bogate paramenta kościelne w zakrystyi, jako monstrancye, kielichy i ornaty, darowane niegdyś przez króla Jana V., lecz przepadła gotówka, która, choć niewielka, byłaby dobrze zasiliła domy misyjne w Chinach i Brazylii. Konfratrzy rozprószyli się po całym kraju, prześladowani zawzięcie przez masoneryę i liberałów. Niemniej smutny stan rzeczy był i w Brazylii. Ks. generał Salhorgue w okólniku z 1. stycznia 1834. r. pisze między innemi, że i konfratrzy brazylijscy wystawieni są na wielkie prześladowania ze strony wrogów kościoła, a ostatnie stamtąd nadeszłe wiadomości nie rokują Zgromadzeniu spokojnej przyszłości. Los rozprószonych i prześladowanych konfratrów był okropny. Wyobrażenie pewne o za-

ciętości prześladowania daje nam list ks. Józefa Gonzalesa pisany w 1857. r. do ks. generała Etienne. „Wstąpiłem do Zgromadzenia w 1824. r., śluby św. złożyłem w 1826. r., a na kapłana wyświęcono mnie w 1831. r. Rewolucya wybuchnęła w Lizbonie w 1833. r. Za zgodą ks. wizytatora uciekał każdy z nas gdzie mógł wśród tysiącznych niebezpieczeństw. Błąkałem się po całym kraju, a w końcu zamieszkałem u swoich rodziców w północnej Portugalii. Uciekałem z miejsca na miejsce wśród głodu i wszelkich utrapień, bo nie chciałem uznać nieprawych biskupów. Nie mogłem przez kilka lat odprawiać Mszy św., a jeżeli mi się to kiedy udało, to musiałem się ukrywać i używać wielu środków ostrożności. W roku 1840. nawiązałem stosunki z swoim wizytatorem ks. Magalhaes i otrzymałem od rządu małą pensyę. W roku 1844. umarła mi matka; pozbawiony środków do życia schroniłem się do pewnej pobożnej familii, gdzie aż do 1854. r. znalazłem schronienie. Kiedy w 1857. r. przybyli do Portugalii francuscy Konfratrzy i Siostry Miłosierdzia, i ja nawiązałem stosunki z ks. Fougerays i znalazłem się wród swoich". Naturalnie takich konfratrów, pragnących się złączyć ze Zgromadzeniem, było bardzo mało. Jedni pomarli, inni nie ufali stanowi politycznemu w Królestwie, wreszcie byli rozprószeni po wszystkich koloniach Portugalii i krajach misyjnych; to też z boleścią konstatuje fakt zagłady prowincyi portugalskiej ks. generał Etienne, kiedy w okólniku z 1845. r. pisze między innemi: „Prowincya portugalska Zgromadzenia naszego już nie istnieje; nawet śmiało powiedzieć mogę, że nie ocalała z tego upadku ani cząstka, z którejby odżyć mogło nasze Zgromadzenie. Wizytator tej prowincyi, pod każdym względem wzorowy Misyonarz, płacze nad upadkiem Zgromadzenia i nie widzi na razie żadnego środka do jego odnowienia jak modlitwę do Boga".

(Dokończenie nastąpi).

Ks. J. Rzymełka.

Historya Zgromadzenia w Irlandyi.

Podług notatek ks. Jakóba Carpentier'a.

(Ciąg dalszy.)

Dublin — Phibsborough (1839.).

Dom św. Piotra, z kolei drugi w Irlandyi, powstał w r. 1839. Praca zaczęła się od budowy nowego domu dla Ks. Ks. Misyonarzy i od powiększenia kościoła, który z powodu coraz liczniej gromadzącego się ludu trzeba było pięć razy rozszerzać; po skończeniu pracy nad jego ostatecznem przebudowaniem w r. 1906. panuje teraz piękny gotyk ze swą wysoką wieżą nad całem miastem.

Ze wzrostem Zgromadzenia podniosła się też liczba członków tego domu tak, iż obecnie pracuje tu 15 konfratrów, podczas gdy dawniej bywało ich 5—6; na misye wyjeżdża zwykle 5 lub 6 księży; reszta, zajęta przy kościele, daje rekolekcye w tutejszych kolegiach, szkołach i zakładach naukowych. Mimo pokaźnej liczby księży trzeba jeszcze dla nawału pracy prosić o pomoc konfratrów z innych domów, zwłaszcza co dwie soboty miesiąca, a to z następującego powodu:

W niedzielę Męki Pańskiej r. 1873. oddali biskupi w całej Irlandyi swych wiernych pod opiekę Najsłodszego Serca Zbawiciela, aby sobie wyprosić Jego pomoc w walce z pijaństwem i zagrzać niedbałych do częstego przyjmowania Sakramentów św.

Poza seminaryami duchownemi nie znano niemal nabożeństwa do Najsłodszego Serca Pana Jezusa, lecz od tej chwili cała Irlandya skupiła się u stóp Boskiego Zbawiciela, wyrażając swą cześć dla Jego Najsłodszego Serca na tłumnych uroczystych nabożeństwach. Że Misyonarze nie zostali

obojętnymi na głos biskupów, wskazują rezultaty ich odnośnej pracy.

Krótko po uroczystem oddaniu Irlandyi opiece Najsłodszego Serca P. Jezusa Ks. Ks. Misyonarze, zebrawszy wiernych w swym kościele, zaproponowali im utworzenie dwóch wielkich bractw ku czci Najśw. Serca: jednego dla mężczyzn, drugiego dla niewiast.

Przeszło tysiąc osób różnych stanów poszło odrazu za głosem Misyonarzy.

Napisano ustawy, które arcybiskup potwierdził, i odtąd to rozpoczyna się gorliwa praca w szerzeniu czci ku Najsłod. Sercu Pana Jezusa. Co miesiąc w oznaczony wieczór gromadzą się w kościele wierni, począwszy od prostego wyrobnika aż do bogatego pana, ażeby wysłuchać nabożnego czytania lub nauki i w ten sposób dać wyraz czci dla Boskiego Serca.

Wspanialszą jednak i bardziej jeszcze wzruszającą jest scena, kiedy wierni w niedzielę zbiorowo przystępują do Stołu Pańskiego dla złożenia hołdu Najsł. Sercu.

Jeśli się zważy, że wielu z przystępujących obecnie co miesiąc do Komunii św. dawniej najwyżej raz na rok, lub wcale nie uczęszczało do Stołu Pańskiego, to będziemy mieli dowód, jakie błogosławieństwo z nieba spłynęło na ten lud razem z nabożeństwem do Najsłod. Serca. Od tego czasu zaprowadzono to stowarzyszenie już we wszystkich parafiach miejskich, gdzie jeszcze nie było stowarzyszenia Przenajśw. Rodziny.

Z Dublina rozszerzyło się ono nawet na parafie wiejskie, bo Misyonarze szerzą je za zgodą biskupów i proboszczów wszędzie, gdzie tylko na misyach pracują.

Wracając do naszego opowiadania, dodajemy, że Misyonarze w Phibsborough zajmują się nadto bractwem wstrzemięźliwości dla młodzieńców i zbudowali przy kościele 2 wielkie szkoły: jedną dla chłopców, drugą dla dziewcząt. W szkołach tych, przez rząd bardzo popieranych, otrzymują

elementarne wykształcenie dzieci przeważnie z niższych warstw pod kierunkiem nauczycieli świeckich.

Jeden z księży jest spowiednikiem dziatwy i udziela jej w kościele nauki religii, może to zresztą także zrobić w szkole każdego dnia o oznaczonej godzinie. Więcej trudu wymaga opieka duchowa w szkole głuchoniemych chłopców, którą zarządzają Bracia szkół chrześcijańskich; my wykładamy tam religię i słuchamy spowiedzi św.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje jeszcze inne dzieło. Pewna gorliwa i majętna pani założyła w jednej z najwięcej zaniedbanych dzielnic miasta ochronkę dla sierót i kilka szkół dla wykształcenia dzieci w duchu religijnym.

Opuszczonej dziatwy jest tu bardzo wiele z powodu panującej nędzy i zepsucia. Zbudowano dla niej przytuliska, ale zrobiono też z nich środek propagandy heretyckiej, bo protestanci, przyjmując dzieci pod swoją pieczę, starali się od rodziców także uzyskać wszelkie do nich prawo. W ten sposób setki dzieci katolickich przeszły do obozu protestanckiego i występowały później wrogo przeciw Kościołowi.

Aby zapobiedz wzrastającemu niebezpieczeństwu, założono zgromadzenie „Sióstr świętej wiary", które dzisiaj kieruje szkołami prawie we wszystkich uboższych dzielnicach miasta a nawet zyskało kilka domów na prowincyi. Odwiedzanie sierót i ich opiekunów, piecza nad siostrami i pensyonatem, to praca wystarczająca dla jednego Misyonarza. W ręku tutejszych księży spoczywa także dyrekcya 5 domów siostrzeńskich, a zatem pole pracy dla Zgromadzenia jest w Phibsborough bardzo obszerne, a także bardzo piękne, bo obejmuje przedewszystkiem ubogich. Od piętnastu lat pracują Kościół i szkoła nad podniesieniem poziomu umysłowego ludności, wskutek czego wzrasta żniwo dla Misyonarzy. Lud podniósł się już tak dalece pod względem religijnym, że praca nasza na misyach jest bardzo ułatwiona, spowiedzi generalne bowiem już zwykle poprzednio odprawiono, zachęcamy więc tylko do wytrwania w dobrych postanowieniach. Oczywiście, że środki do tego postępu w życiu chrześcijań-

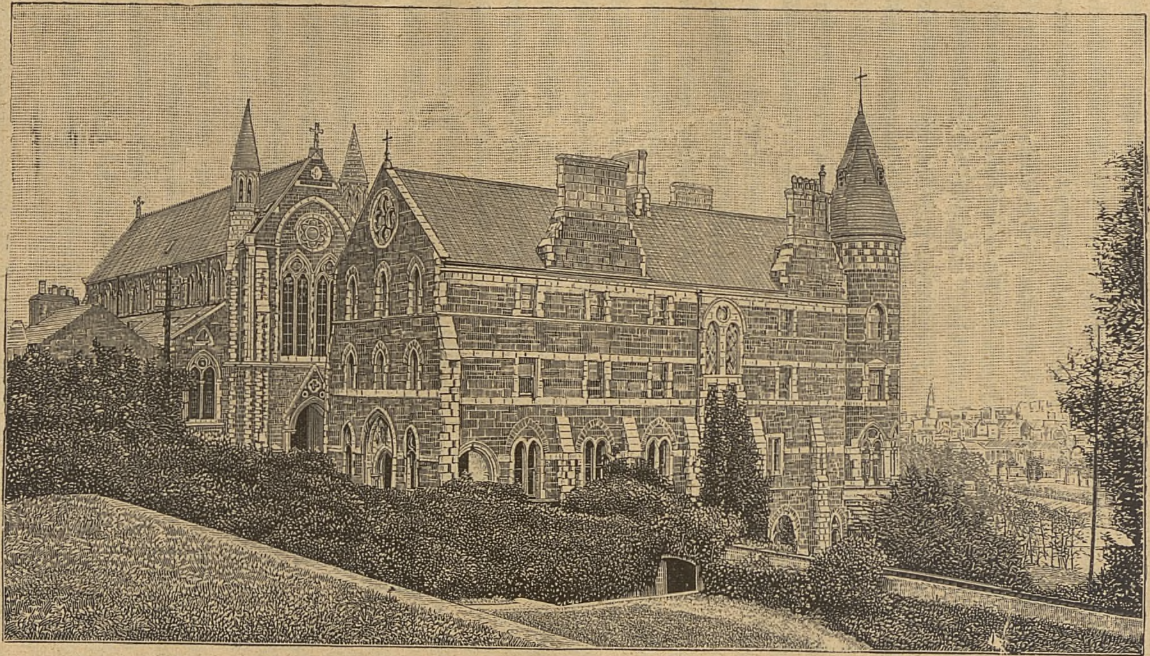
skiem będą u różnych osób rozmaite, podajemy jednak zawsze jeden jako ogólny i skuteczny dla wszystkich t. j. bractwo Najsłod. Serca P. Jezusa. Ponieważ w Phibsborough podniesiono je do godności Arcybractwa, więc Misyonarze mogą wszędzie zaszczepiać jego latorośle. Z ambony i konfesyonału podaje się jako jedyny środek wytrwania wstąpienie do jakiegoś stowarzyszenia lub bractwa i, dzięki Bogu, zachęta znajduje posłuch. Po miesięcznem zebraniu i nauce następuje zawsze wspólna Komunia św., a zwyczaj ten zapanował już w całej Irlandyi, podczas gdy przed 50 laty przystępowano do Stołu Pańskiego zaledwie w Święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia. Gorliwość dyrektora i roczne rekolekcye pod kierunkiem Misyonarza lub jakiego zakonnika są duchem ożywczym stowarzyszenia.

Postęp prac misyjnych i rozwój Zgromadzenia w Irlandyi były tak pomyślne, że O. Generał Etienne pozwolił już w r. 1844. na otworzenie seminaryum internum.

Cork (1847. r.).

Początek domu w Cork był podobny co w Phibsborough. Ks. Michał O'Sullivan, wikaryusz generalny dyecezyi, zamierzył stworzyć dom misyjny mniej więcej w naszym duchu, lecz z pewnemi zmianami. Skoro dla urzeczywistnienia tej myśli otworzył kolegium w Cork, zgłosiła się odrazu wielka liczba młodzieży, bo świątobliwość i głęboka wiedza fundatora dawały rękojmię jak najlepszego kierownictwa. Zrazu kolegium rozwijało się w przyspieszonem tempie, ale z biegiem czasu poczęły wyrastać trudności.

Wreszcie ks. O'Sullivan ofiarował cały zarząd kolegium superyorowi naszego Zgromadzenia w Castleknock, a sam poprosił o przyjęcie do seminaryum. O. Generał, zgodziwszy się na tę propozycyę, wysłał z księdzem O'Sullivan 3 księży i jednego kleryka dla kierownictwa kolegium i pracy misyjnej. Tak powstał w Irlandyi trzeci dom, który razem z dwoma poprzednimi tworzył już osobną prowincyę z ks. Dowley jako wizytatorem na czele. Z powodu braku źródeł nie



Kościół i Dom Ks. Ks. Misyonarzy w Cork.

wiemy nic pewnego o dalszych losach tego domu, wiadomo tylko, że O'Sullivan był pierwszym jego superyorem.

Oprócz nauki i pieczy duchownej w dwóch zakładach rozpoczęli nadto Ks. Ks. Misyonarze budowę nowego kościoła, pomimo że żadnych funduszów poprzednio na to nie zebrano. Ufni jednak w Opatrzność Bożą i hojność ludności, w dziewięciu dziesiątych katolickiej, zakupili w zachodniej części miasta kawał gruntu, na wzgórzu położonego. Składki posypały się dosyć obficie, zdarzały się nawet bogatsze jałmużny i dlatego praca raźno postępowała naprzód.

Już kończono budowę, już pokryto znaczną część dachu, kiedy nagle gwałtowna burza zerwała mury, zamieniając wszystko w kupę gruzów. Był to dla Misyonarzy cios straszny, ale uznali w tem palec Boży. Wielkie dzieła spotykają się z wielkiemi trudnościami, a w tym wypadku klęski nie sprawiała złość ludzka, lecz widocznie P. Bóg chciał wypróbować wytrwałość swych sług. Rozpoczęto pracę na nowo.

Ludność okazała dla Zgromadzenia w tem nieszczęściu wiele współczucia, a jeszcze więcej szlachetnej ofiarności, tak iż świątynia rosła jakby w oczach i niebawem rozpoczęto w niej odprawiać nabożeństwa, chociaż jeszcze nie wykończono fasady. Dzisiaj kościół już zupełnie wykończony wznosi się ku niebu swojemi wieżycami jako pomnik ofiarnej pobożności miasta Cork i jego okolicy.

Dzień otwarcia tego kościoła pod wezwaniem „Św. Wincentego na wzgórzu“ jest pamiętnym dla miasta z wielu względów. Prosta i jasna metoda w kazaniach, zalecona przez św. Wincentego, ściągała olbrzymie tłumy; dawniej spowiedzi były rzadkie, generalne wyjątkowo się zdarzały, teraz w nowej świątyni można się było wyspowiadać każdego dnia i o każdej porze; dawniej spełniano ceremonie niedbale i bez namaszczenia, teraz uroczyste nabożeństwa podnosiły serca tak, iż niektórzy nazywali ten kościół swoim rajem na ziemi.

Konfratrzy domu w Cork objęli później jeszcze jedną kapelanię u Sióstr Miłosierdzia i pieczę duchowną w przy-

tulisku dla kobiet, udzielają też rekolekcyi dla kleru, dla panów i pań z konferencyi św. Wincentego.

Podczas wielkich wakacyi w kolegium wszyscy księża z domu św. Wincentego, nie potrzebni koniecznie dla pracy w kościele, odprawiali razem z konfratrami z Dublina misye nie tylko w swojej dyecezyi, ale i w sąsiednich Cloyne i Ross. Błogosławieństwo Boże, towarzyszące tym pierwszym krokom, zachęciło do zorganizowania osobnej grupy misyjnej. Na to trzeba było osobnego domu, bo mieszkania księży przy św. Wincentym były prowizoryczne, wystarczały jedynie dla szczupłego grona. Postanowiono więc zbudować dom rekolekcyjny, zapukano do serc dobroczyńców i urządzono t. zw. tutajbazar z loteryą, co przyniosło 4.200 funtów szterlingów dochodu.

Urządziliśmy także kwestę poza dyecezyą, bo przecież nie chcieliśmy zacieśnić swej działalności wyłącznie do jej granic. Budowę wnet ukończono, Zgromadzenie przeniosło się też zaraz do nowego domu, który był za wielki dla kilku konfratrów, ale za mały na rekolekcye dla kleru dyecezyalnego; jednak zawsze się w nim znajdzie dosyć miejsca do pomieszczenia biskupa i duchowieństwa z małej dyecezyi Ross. Z tem wszystkiem dom jest wcale piękny, zwłaszcza dla ślicznego położenia na jednem ze wzgórz u wstępu rzeki do miasta, na które roztacza się wspaniały widok. Wewnątrz nie razi nic jakimkolwiek przepychem, a okazały wygląd zewnętrzny jest tylko dowodem talentu artysty, który z dziwnem poczuciem piękna potrafił przez trafny układ krajowego kamienia stworzyć dzieło niezwykłej, estetycznej wartości.

Przez 30 lat odprawiano systematycznie misye w prowincyach południowych, nie pomijając jednak północnych; od czasu do czasu podejmowano nawet wycieczki apostolskie do Anglii, obecnie n. p. pracują nasi konfratrzy w Londynie. Misye te są bardzo trudne i łatwo mogą zniechęcić małymi plonami, bo trzeba nawracać biednych Irlandczyków, którzy przed wiekiem z nędzy wyemigrowali do Londynu, ażeby

znaleźć środki do życia w tym nowym Babilonie. Wielu jest katolikami tylko z nazwiska, bo zapomnieli już o ojczystych tradycyach i gubią swe dusze w heretyckiej atmosferze. Podobny jest stan Irlandczyków po innych angielskich miastach i centrach przemysłowych. Tam nie wystarcza misye zapowiedzieć, lecz trzeba chodzić od domu do domu, zapraszać i nalegać.

W Szkocyi jest nieco lepiej pod tym względem, zato po wsiach kalwinizm chłodem swoim wystudza serca. Gdyby tylko udało się wykorzenić pijaństwo u Irlandczyków katolików, to ich przykład mógłby bardzo pomódz do rozprószenia ciemności, zalegających ten kraj, niegdyś katolicki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Claverie

Wizytator Ks. Ks. Misyonarzy i Dyrektor S. S. Miłosierdzia w prowincyi ekwadorskiej.

Ks. Jan Claverie urodził się 1830. r. w wiosce Doazit, malowniczo rozłożonej u stóp słynnej świątyni Notre-Dame de Maylis w departamencie Landes. Z zrządzenia opatrzności Bożej przeżył więc dziecięce lata pod opiekuńczemi skrzydłami Najśw. Panny, którą miał pokochać na całe życie miłością synowską. Ojciec jego, Bernard, odbył jako grenadyer w gwardyi za pierwszego cesarstwa kilka kampanii i pod sławnym Cambronne'm walczył w bitwie pod Waterloo. Wróciwszy po upadku Napoleona do rodziny, poślubił Dezyderyę Darribére. Jan był piątem i najmłodszem z dzieci.

Straciwszy matkę w czwartym roku życia, zostawał jako ukochany benjaminek pod wyłączną opieką ojca, starego żołnierza. Wybitna inteligencya, temperament żywy i wesoły, a zwłaszcza uderzający pociąg do Boga odznaczały miłego chłopczynę. Ojciec umieścił go u św. Sewera w zakładzie Braci szkół chrześcijańskich, gdzie ukończył pierwsze studya i po raz pierwszy przystąpił do komunii św., która niezawodnie silnie oddziałała na całe jego życie.

Dwa lata później, 1843. r., wstąpił do świeckiego Kolegium w Aire-sur-l'Adour, gdzie ojciec miał zapewnione dla niego stypendyum. Ale atmosfera tamtejsza nie sprzyjała wcale tej jasnej duszy, która broniła swej niewinności gorącem nabożeństwem do Matki Boskiej. Za jej prawdopodobnie natchnieniem przeniósł się do małego seminaryum w tem mieście (1844. r.) i rozpoczął naukę języka łacińskiego. O dalszych studyach wiemy tylko tyle, że były pomyślne, a dyplom przyjęcia do Dzieci Maryi, podpisany przez pre-

fekta, ks. Dufau, świadczy, że rozwijając umysł, nie zaniedbał kształcenia serca.

Po skończeniu humaniorów w r. 1850. wstąpił ks. Claverie do seminaryum duchownego, zostającego pod kierownictwem O. O. Jezuitów. W maju 1855. r. otrzymał święcenia kapłańskie. Chętnie byliby O. O. Jezuici przyjęli do swego zakonu obiecującego alumna, jednego z najwybitniejszych w seminaryum, ale na to szlachetne serce podziałała już silnie postać św. Wincentego, którego miejsce urodzenia odległe było tylko o kilka kilometrów. Razem ze zdolnym towarzyszem, późniejszym księdzem, Pémartin, odczuwał w duszy powołanie do pracy nad biednymi, ale się nie spieszył, czekał, aż myśl dojrzeje. Do święceniach kapłańskich otrzymał od biskupa, Mgra Lannéluc, posadę wikaryusza przy katedrze w Dax. Zaledwie jednak 2 lata zajmował to stanowisko, przeniósł się bowiem na katedrę profesorską w małem seminaryum w Aire, sądząc, że w ten sposób zbliży się do swego celu.

Wreszcie w r. 1859. wstąpił do seminaryum internum u św. Łazarza w Paryżu i znalazł tam właściwą dla siebie atmosferę, nie czując już węzłów, wiążących go z rodziną i dyecezyą. Pracę w samotności nad zdobyciem ducha Zgromadzenia przerwał z polecenia ks. Etienne'a nagły wyjazd do Evreux dla zastępstwa chorego konfratra w pracy misyjnej.

Mając pod ręką tylko kilka szkiców z ks. Lejeune'a musiał zrazu dniem i nocą pracować, ażeby godnie spełnić swe zadanie. Widocznie Pan Bóg błogosławił jego trudom, bo głosił z powodzeniem kazania misyjne po różnych parafiach w Normandyi. Rok wyczerpującej pracy podciął jednak tak dalece siły fizyczne młodego misyonarza, że ks. Etienne wysłał go dla poratowania zdrowia do Toursainte pod Marsylią, gdzie miał jedynie obsługiwać piękny Kościół, zbudowany na cześć Matki Boskiej przez bogatego kapitana marynarki, Armanda. Wody emskie dopełniły kuracyi tak, iż

w r. 1863. mógł go ks. Generał wysłać do Smyrny na urząd dyrektora kolegium, zostającego pod zarządem Zgromadzenia.

Tymczasem po wojnie włoskiej wróciła Nizza do Francyi i okazała się konieczność seminaryum duchownego dla nowej dyecezyi. Organizacyę poruczono ks. Claverie. Stanowisko było bardzo trudne, ponieważ trzeba było walczyć z niechęcią kapituły do wszelkich zmian dawnego porządku rzeczy; tem więcej trzeba było umiejętności i energii, że sam biskup zostawał pod wpływami kanoników. Nowy superyor okazał jednak tyle taktu, że biskupa nie zraził, chociaż wprowadził wszystkie urządzenia, wypróbowane długoletnią praktyką w innych seminaryach francuskich. Kiedy po trzech latach opuszczał swój posterunek, było seminaryum doskonale zorganizowane według modły, powszechnie panującej we Francyi. Dzieło to, szczęśliwie z pomocą Bożą dokonane, przygotowało ks. Claverie do misyi, jaką miał spełnić w nowym świecie.

W tym czasie Ekwador, jedna z małych republik południowo-amerykańskich, zwróciła na siebie uwagę całego świata. Prezydentem jej był Garcia Moreno, wielbiciel Sióstr Miłosierdzia, które poznał we Francyi. Pragnąc je sprowadzić do kraju, wysłał do księdza Generała Etienne'a arcybiskupa z Quito Mgr. Checa, żeby się ułożyć o fundacyę Sióstr Miłosierdzia w Ekwadorze. Na dyrektora Sióstr dla tak ważnego posterunku nie mógł ks. Generał wysłać jakiegokolwiek kapłana, zwłaszcza że o to prosił sam prezydent Garcia Moreno, który dla ucywilizowania republiki otoczył się ludźmi znakomitymi z całego świata. Obrał więc księdza Claverie. „Moje Siostry, odezwał się do dziesięciu Szarytek, wyjeżdżających do Ekwadoru, oto wasz dyrektor, daję wam drugiego siebie". Było to słowo pochlebne, lecz i słuszne zarazem; a ktoby się lepiej przypatrzył temu kapłanowi, znalazłby w nim niejedno podobieństwo do tego, który we Francyi odbudował obie rodziny św. Wincentego á Paulo. Ks. Claverie liczył wtedy lat 40. Był to kapłan o powierzchowności szlachetnej i imponującej, pełnej pogody i słodyczy: był usposobienia

wesołego i pełen porywającego zapału; w towarzystwie odznaczał się pociągającą delikatnością, co dodawało blasku jego cnocie i zdolnościom. Zastęp Sióstr Miłosierdzia, który miał poprowadzić do odległych krajów, składał się z sił wyborowych pod przewodnictwem Siostry Maryi Hernu, godnej naprawdę dla wielkiego umysłu i serca urzędu pierwszej wizytatorki Sióstr Miłosierdzia w Ekwadorze.

Opuściwszy Paryż w czerwcu, przybyła ta ekspedycya pod wodzą ks. Claverie i jego młodego towarzysza, ks. Jana Stappers, do portu Guayaquil dnia 18. lipca 1870. r. Stąd udała się końmi po stokach Kordylierów do miasta Quito, położonego na płaskowyżu 3000 m. nad poziomem morza, i stanęła tam po dziewięciodniowej podróży.

W Quito zamieszkały Siostry w dawnem kolegium św. Bonawentury, które było częścią ogromnego klasztoru św. Franciszka; kupiła je dla nich szlachetna pani Donna Virginia Klinger de Aguirre. Kolegium to przeznaczono na dom centralny, nowicyat i żłóbek, a potem urządzono jeszcze szkołę, do której uczęszcza dzisiaj (1907.) 600 dziewcząt ze sfer ubogich. Fundacya ta, pod wezwaniem św. Karola, powstała dnia 8. września 1870. t. j. w kilka dni po upadku Napoleona III. we Francyi. Tymczasem ks. Claverie wraz ze swoim towarzyszem zamieszkał w ubogim domku, położonym naprzeciw kaplicy zakładowej, dziś kościoła szpitalnego. Tam przeżył lat 37. Kaplica i domek, odstąpione kontraktem Zgromadzeniu, były w ruinie, szybko je jednak odrestaurował ks. Claverie, tworząc tam pierwszą stacyę Ks. Ks. Misyonarzy w Ekwadorze.

Potem otrzymały Siostry szpital miejski w Quito, lecz w stanie tak opłakanym, że opis jego obudziłby z pewnością niedowierzanie. We wstrętnych salach leżeli chorzy wśród robactwa i umierali prawie bez opieki. Korytarze były brudne, a podwórze zmienione w kloaki i zasypane stosami brudów. Dużo trzeba było trudu, zanim oczyszczono tę stajnię Augiasza i zamieniono na znośny szpital. Siostry wzięły się raźno

do pracy pod przewodnictwem swego dyrektora, a dzięki hojności prezydenta Garcia Moreny sprawa dobrze się udała.

Przed końcem roku 1870. zainstalowano Siostry w szpitalu w Guayaquil, który także przyprowadziły do porządku.

W roku 1871. założono w tem samem mieście, na cerro de santa Ana, szpital wojskowy; w roku 1872. szpital w Cuenca, a w 1875. w Riobamba, gdzie miał w przyszłości zakończyć życie ks. Claverie. W tym samym roku ks. Claverie wprowadził Siostry do Babahoyo, niezdrowego miasteczka nadbrzeżnego, gdzie dla pieczy nad ubogimi zamieszkały w drewnianym budynku, który był równocześnie kasarnią dla wojska, składem soli, pałacem gubernatora i szpitalem dla chorych.

Rok 1876. przyniósł fundacyę domu, zwanego Quinta — po hiszpańsku domek wiejski — było to ulubione w Quito miejsce ks. Claverie. Otrzymawszy od pewnego łaskawego dobroczyńcy dość znaczną sumę na zakupno gruntu, zabrał się gorliwie do pracy i wkrótce też stanęła grupa budynków, przeznaczona dla podrzutków, którym było zbyt ciasno u św. Karola; urządzono także mieszkanie dla Sióstr i kaplicę. Dom otrzymał nazwę św. Wincentego, a ks. Claverie był w tym czasie w jednej osobie architektem i majstrem murarskim. Wystawił budynki i tak potrafił uprawiać suche i nieurodzajne grunta, że wkrótce zmieniły się w żyzne pola i ogrody, pełne jarzyn i kwiatów. Założył alee eukaliptusowe, pełne balsamicznych zapachów, i wykopał kilka studni, z których jedna, pod wezwaniem św. Wincentego, była pierwszą w republice. Zakład ten był zawiązkiem wspaniałego schroniska dla sierót, które się składa obecnie z czterech grup budynków: mianowicie z zakładu św. Wincentego dla chłopców, św. Józefa dla dziewcząt, ze żłóbka pod wezwaniem św. Jana i z domu św. Gabryela. Do zakładu należą ładne laski, pola i ogrody.

W roku 1881. przyjęły Siostry zarząd hospicium w Guayaquil i objęły zakład sierót w Cuenca.

W roku 1882. otrzymały hospicium w Quito, które jest przytułkiem wszelkiej nędzy fizycznej i moralnej i mieści w sobie schronisko dla trędowatych obojga płci.

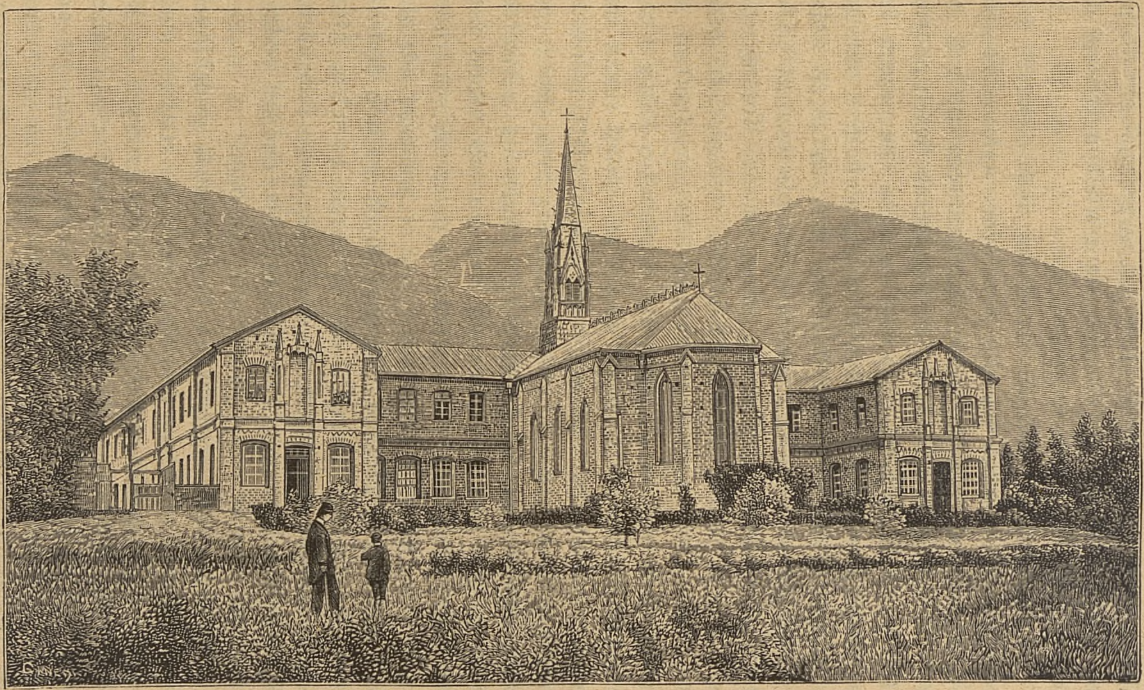
W roku 1885. oddano Siostrom Miłosierdzia 3 szpitale razem ze szkołami ludowemi, mianowicie w Ambato, w Latacunga i w Ibarra, miasteczku, leżącem na północy republiki.

W roku 1888. obejmują Szarytki szpital i szkoły w Loja, na drugim końcu kraju nad granicą peruańską.

W roku 1894. weszły Siostry do szpitala w Guaranda; w 1897. do ochrony w Ibarra; w 1899. do schroniska Calderon w mieście Guayaquil. W tem samem mieście cztery lata później, 1903., dostały się do wspaniałego gmachu Szpitala Powszechnego.

W roku 1904. otrzymały szkoły w Ibarra. Nareszcie otwarcie szkół w Machache, 1905. roku, które nastąpiło wkrótce po objęciu schroniska Galecio i domu Opatrzności w Guayaquil w roku 1906., zakończyło piękny szereg zakładów, powierzonych Siostrom Miłosierdzia w Ekwadorze.

Ziarneczko gorczyczne, zasiane 8. września 1870. roku, rozrosło się dzisiaj (1907. roku) w olbrzymie drzewo, które cieniem swoim okrywa niemal cały kraj od północy aż na południe i od wybrzeży Oceanu Spokojnego do wschodniego łańcucha Kordylierów Andów. Składa się z dwudziestu pięciu domów i 250 Sióstr, które swą opieką otaczają przeszło sześć tysięcy chorych, sierót, ubogich, dzieci i starców. Do wszystkich tych fundacyi przyczynił się w znacznej mierze ks. Claverie. — W roku 1907. mieszkał w Quito, ciągle zajęty kazaniami, spowiedzią, katechizacyą nietylko Sióstr, lecz i Pań Miłosierdzia, Dzieci Maryi i Matek chrześcijańskich. Prócz tego był aż do śmierci prezydenta Garcia Moreno profesorem w szkole wojskowej, a długi czas także kapelanem w szpitalu. Gdy nadeszły wakacye, siadał na koń i przebiegał wielką część republiki, zwykle w towarzystwie Sióstr, przeznaczonych na nowe stanowiska. Gdy wizytatorka lub jej asystentka zwiedzała domy, on dawał tamtejszym Siostrom rekolekcye; dostarczał też chętnie zasiłków pieniężnych nowo powstającym dziełom miłosierdzia. Sam dostarczał planów, kierował budowlami i poprawiał stare budynki; czuwał nawet nad umeblowaniem, nad stawianiem pieców, łazienek i t. d.



Seminaryum duchowne w Quito.

W ten sposób wprowadził do Ekwadoru wiele ulepszeń, a niosąc ulgę opuszczonym przez los, przyczynił się do postępu kraju. To wszystko łączyło się z wielkim trudem dla braku robotników i materyału.

W naszej starej Europie, klasycznej ziemi pięknych dróg i kolei żelaznych, gdzie powozy przeróżne, automobile, wagony luksusowe, bufety i hotele uprzyjemniają podróż, nie można mieć pojęcia o trudach i niebezpieczeństwach podróży w Kordylierach. Wystarczy powiedzieć, że dla trzech lub czterech seryi rekolekcyi zużywał ks. Claverie trzy miesiące czasu i przebywał konno 1200 kilometrów. Jadąc ze stolicy na południe, ma się drogę znośną przez pierwsze 200 kilometrów; to droga zbudowana przez Garcia Morenę. Ale potem trzeba jechać lichemi ścieżkami, wydeptanemi przez muły, trzeba się wspinać na wyżyny 3000 do 4000 m. się wznoszące, by znowu się spuszczać w głębokie doliny o najbujniejszej roślinności a rozpalone jak piec przez słońce tropikalne, podczas gdy na wyżynach wieje wiatr lodowaty. W nizkich równinach i dolinach trzeba się było strzedz porażenia słonecznego, febry, tygrysów i ukąszenia jadowitych wężów. Nieraz podczas ulewnego deszczu lub wśród żaru słonecznego trzeba się było przeprawiać przez miejsca trudne do przebycia, gdzie można było runąć w przepaść lub utonąć w ogromnych błotach. Po tysiącznych trudach podróży przybywało się pod wieczór do nędznego t a m b o, które często znużonym podróżnym nie dawało nic prócz schronienia pod dachem z liści, gdy zaś jaki wypadek opóźnił podróż, trzeba było spędzić noc pod otwartem niebem.

Nazajutrz, bez względu na stan zdrowia podróżnych, musiano ruszać w dalszą uciążliwą drogę, po szlakach może najniebezpieczniejszych w całej Południowej Ameryce. — Nie trudno sobie wyobrazić, ile wycierpieć musiał wśród takich niewygód ks. Claverie, w ciągu trzydziestu siedmiu lat pobytu w Ekwadorze. Nieraz cudem tylko uchodził niechybnej zguby. Te same trudy, ale i podobnąż opiekę Opatrzności podzielały z nim SS. Miłosierdzia. Cierpiano wiele, ale za-

wsze ochoczo, bo przyświecał przykładem ks. Claverie. Słowo zachęty lub żart uprzejmy podnosił niejednokrotnie upadłych już na duchu towarzyszów w podróży. — Dlatego na długie lata pozostawi po sobie pamięć niezatartą i żal nieutulony.

Tak rozwijała się prowincya SS. Miłosierdzia. Równocześnie, acz w nierównie wolniejszem tempie, powstawały domy Ks. Ks. Misyonarzy. Widzieliśmy, jak w roku 1870. ks. Claverie zakładał wraz z ks. Stappers dom w Quito. Na życzenie wizytatora prowincyi kolumbijskiej urządził tu mieszkanie dla sześciu Misyonarzy, ale napróżno czekał na konfratrów — przez długie lata było ich tylko dwu. To też nie mogli rozwinąć szerszej działalności; pominąwszy kilka wycieczek misyjnych ks. Krautwiga między Indyan, ograniczała się cała praca Misyonarzy na SS. Miłosierdzia.

Podobne koleje dzielił dom w Guayaquil, otwarty w roku 1871. Misye, podjęte z nadzwyczajnem powodzeniem, musiano dla braku księży przerwać zupełnie. Przyczyną tego były w znacznej mierze opłakane stosunki, w których jęczał kraj cały przez lat niemal dwadzieścia, a nadto niezdrowy klimat. Ziemia ta, prawdziwie „pożerająca obywatele swoje“, w krótkim czasie okryła mogiłą pięciu Misyonarzy: ks. ks. Aleksego Feliksa Teral, Faustyna Garcia, Franciszka Almeida, Gonzaleza i Leona Bouveret.

W tymże roku 1871. przybył do Quito przyszły założyciel seminaryów i prawdziwa chluba Zgromadzenia w Ekwadorze, ks. Piotr Schumacher. Zgromadziwszy kilkunastu młodzieniaszków, zamieszkał z nimi w szczupłem i niezdrowem mieszkaniu w klasztorze św. Franciszka i zaczął im udzielać nauki języka łacińskiego. To była kolebka dzisiejszych seminaryów; ta garść młodzieży, to dziś po większej części kapłani, chluba duchowieństwa całej dyecezyi. Arcybiskup, widząc te piękne początki, zakupił na północ od Quito plac pod budowę przyszłego Małego Seminaryum. Gorliwy ks. Schumacher zabrał się w roku 1874. rączo do dzieła. Po trzech latach (1877.) był dom w znacznej części zbudowany i mógł w swych murach pomieścić Misyonarzy z ich wychowankami. Budowę

wykończono dopiero w roku 1878. Pierwszym superyorem i dyrektorem zakładu był ks. Schumacher, po nim ks. ks. Franciszek Newmann, Jan Stappers. Disiaj liczy Małe Seminaryum około stu wychowanków, pod kierownictwem ks. Malézieux.

Zaledwie ruchliwy ks. Schumacher ukończył Małe Seminaryum, jął się drugiego dzieła, budowy gmachu Seminaryum duchownego, o pół mili na północ w pięknej dolinie u stóp góry Pichincha. Zbudowane w latach 1882.—1884. Seminaryum, z piękną gotycką kaplicą, widnieje wspaniale wpośród ogrodów i gajów. Zamieszkuje tam przeciętnie czterdziestu alumnów, z których niektórzy pochodzą z sąsiednich dyecezyi. — Ks. Schumacher kierował tem Seminaryum do roku 1885. Powołany na stolicę biskupią w Portoviejo, rzuca się z całym zapałem do pracy nad uorganizowaniem dyecezyi, reformą kleru i odrodzeniem ludu. Bez wahania też stanowczo występuje przeciw głoszonym w skrytości hasłom liberalnym, grożącym zgangrenowaniem całemu społeczeństwu. Rewolucya wszakże zwycięża w roku 1895. Biskup, prześladowany, spotwarzony, lżony, idzie pod presyą masoneryi na wygnanie do dyecezyi Pasto. Tam jak drugi św. Piotr Klawer poświęca wszystkie swe siły pracy nad nawracaniem biednych murzynów — i wreszcie umiera w Samaniego, 15. lipca 1902., choć nie za wiarę, ale jako apostoł i męczennik z miłości. — Następcami jego w Seminaryum duchownem w Quito byli ks. ks. Filip Jansen, German Amourel, Leon Bouveret, potem niezapomniany nigdy ks. Teodor Reul. — obecnie ks. Franciszek Préau.

W roku 1876. osiedlili się ks. ks. Misyonarze w Loja, nad granicą Peru, w pobliżu lasów, zamieszkałych przez dzikie plemię Zivaro. Jak w Quito, tak i tutaj objęli Małe i Wielkie Seminaryum. Miłą pamięć przechowuje się tutaj o ks. ks. Lafay, Stappers, Daydi, oraz o znanym z odkryć w dziedzinie historyi naturalnej, ks. Gaujou. W roku 1896. zamknięto obydwa zakłady, a Misyonarzy wydalono; wkrótce jednak pozwolono im znowu powrócić.

Zajęty zakładaniem i zarządem domów SS. Miłosierdzia, nie brał ks. Claverie bezpośredniego udziału we fundacyi Seminaryów, nieraz wszakże wpływem swoim ratował je w kłopotach.

Gdy w roku 1881. dyktator Veintimilla zdobył Quito, a w Seminaryum duchownem umieścił wojsko, zdołał ks. Claverie uwolnić konfratrów od niemiłych gości, uprosiwszy interwencyę u rządu francuskiego. W dziesięć lat później zamknął wizytator kolumbijski z powodu trudności ze strony władz dyecezyalnych Seminaryum duchowne w Quito i tosamo zrobić zamierzył z Małem Seminaryum, — miał już nawet upoważnienie z Paryża. Wtenczas ks. Claverie, widząc jak zgubne następstwa mogłoby to sprowadzić dla kleru, dołożył wszelkich starań, aby temu zapobiedz. Zdołał swym wpływem dobrze usposobić arcybiskupa dla Zgromadzenia, a nawet nakłonił go do tego, że pojechał do Paryża i wyjednał u O. Generała zatrzymanie konfratrów w Quito. Przyczyniło się do tego pośrednictwo samej Stolicy św. Misyonarze pozostali nadal w Quito, a Seminaryum duchowne nawet zyskało na tem, bo na mocy kontraktu przybył na superyora dzielny ks. Teodor Reul.

W roku 1892. obronił ks. Claverie piękne schronisko dla sierót, które chciał zagarnąć wydział medyczny uniwersytetu na swój użytek i już nawet uzyskał upoważnienie prezydenta Flores. Taksamo przeszkodził zamknięciu Seminaryum w Loja przez wizytatora kolumbijskiego.

„Bracia szkół chrześcijańskich“, wydaleni w roku 1896. z jednego ze swych domów w Quito, w którym wychowywali około 1200 dzieci, postanowili z obawy przed nowemi szykanami i groźbami miasto zupełnie opuścić; ale za tem poszłoby także usunięcie ich z całej rzeczypospolitej, gdzie już i tak utracili większą część zakładów. Tysiące dusz młodocianych byłoby przez to narażonych na zgubę w szkołach rządowych. — Ks. Claverie, jako przewodniczący komisyi archidyecezyalnej, złożonej z dwóch Misyonarzy i jednego księdza świeckiego, poszedł do dyrektora Braci i skłonił go do zanie-

chania tego zamiaru. Postarano się o środki na utrzymanie nowicyatu i szkół; chętnie też pospieszył z pomocą Arcybiskup i Panie Miłosierdzia. „Bracia szkół chrześcijańskich“ pozostali nietylko w Quito, ale nawet na prowincyi odzyskali wiele posterunków.

Nie potrzeba wspominać o codziennych utarczkach ks. Claverie dla obrony szpitalów i szkół SS. Miłosierdzia w ciągu tych dziesięciu lat: wszystkie zakłady zdołały się utrzymać, straty były bardzo małe, a nawet osiągnięto wiele korzyści. Widocznie więc ks. Claverie był narzędziem Opatrzności dla zachowania seminaryów i szkół katolickich w Ekwadorze.

Dla licznych też zasług około Zgromadzenia w Ekwadorze był ks. Claverie jak gdyby stworzony na kierownika tej części prowincyi kolumbijskiej. Dnia 24. marca 1896. zamianował go O. Generał Fiat „nadzwyczajnym komisarzem“ dla uregulowania stosunków w razie kasaty Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy czy SS. Miłosierdzia. Już bowiem na dobre szalała burza prześladowania Kościoła, a zgromadzeniom zakonnym grozić poczynało zupełne rozbicie. Dzielny biskup z Portoviejo, ks. Schumacher, poszedł na wygnanie z księżmi i zakonnikami swej dyecezyi. Tenże los dzielili biskupi z Loja i Riobamba, Salezyanie, Kapucyni oraz prawie całe duchowieństwo z Ekwadoru. Zachował jednak P. Bóg dzieci św. Wincentego. Musieli wprawdzie Misyonarze opuścić Seminarya i wystawieni byli na wiele ucisków; pozwolono im wszakże w kraju pozostać i spełniać zadania sobie powierzone. Po pięciu latach dopiero zwolniło nieco prześladowanie. Przez cały ten czas podtrzymywał ks. Claverie wszystkich na duchu.

W roku 1900. mianował go O. Generał wice-wizytatorem w Ekwadorze, dodając mu prokuratora prowincyonalnego i konsultorów; nominalnie jednak należały tamtejsze domy do prowincyi kolumbijskiej. Zupełnego rozdziału dokonano pod koniec roku 1901. Powstała nowa prowincya, obejmująca Ekwador, Peru i Chili z urzędową nazwą „province du Pacifique“ (prowincya nad Oceanem Spokojnym), a urząd wizytatora objął ks. Claverie. W tym charakterze przewo-

dniczył dnia 2. czerwca 1902. konwentowi prowincyonalnemu w Limie. W czasie konwentu generalnego w roku 1902. otrzymał od O. Generała pozwolenie na otwarcie Seminaryum Interum w swej prowincyi. Już w październiku następnego roku widzimy w Quito pięciu pierwszych Seminarzystów pod kierownictwem ks. Lachat. Mimo podeszłego wieku wizytował ks. Claverie w roku 1904. domy w rzeczypospolitej peruwiańskiej, Limę, Trujillo i Arequipa, nie zdołał jednak już dotrzeć do Chili.

Ponieważ dla zbytniej odległości domów dotychczasowy podział prowincyi okazał się niepraktycznym, dokonano z początkiem roku 1905. nowego rozgraniczenia: z Ekwadoru utworzono osobną prowincyę pod kierunkiem ks. Claverie, reszta domów utworzyła nową prowincyę chilijsko-peruwiańską (we francuskiem utrzymała się dawna nazwa „prov. du Pacifique").

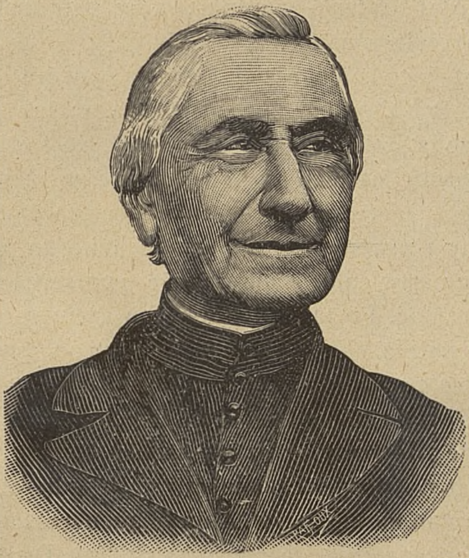
Niedługo już odtąd żył ks. Claverie. W połowie lutego 1907. bawił właśnie w Riobamba i tu też zapadł nagle na ciężką chorobę, z której nie miał już powstać. Umieszczono go w tamtejszym szpitalu SS. Miłosierdzia. W kilka dni potem, dnia 20. lutego, oświadczyli lekarze, że stan chorego jest beznadziejny. Udzielono mu przeto ostatnich Sakramentów św., które chory przyjął nadzwyczaj budująco. Nazajutrz sporządził testament i wydał ostatnie zarządzenia — i odtąd już tylko zajęty był przygotowaniem się na śmierć. W ostatnich tych chwilach zajaśniała w całym blasku dotąd pod płaszczem pokory tajona pobożność. Z namaszczeniem powtarzał każde przez spowiednika poddawane westchnienie, a usta jego wciąż poruszały się szeptem niedosłyszanych modłów. Z anielską cierpliwością znosił dotkliwe boleści, a wszelkim zarządzeniom lekarza ulegał ślepo. Najbardziej wszakże zabłysnęło w nim dziecięce nabożeństwo do Matki Najśw. Niemal ustawicznie powtarzał wezwanie: „O Maryo, bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy". W ostatnich dniach zaczął nawet majaczyć; wystarczyło wtedy podsunąć to westchnienie, a natychmiast wracał do przytomności.

Pod koniec polepszył się nieco stan chorego, ale był to ostatni błysk dogorywającej świecy. W piątek dnia 1. marca wieczorem rzekł do Siostry, czuwającej przy jego łożu: „Proszę wezwać do mnie wszystkie Siostry, chcę im pobłogosławić“. Po modlitwach wieczornych zgromadziły się wszystkie na sali. Natenczas nie mogąc słów wymówić, w milczeniu zrobił nad niemi dwukrotny znak krzyża św. Nazajutrz, dnia 2. marca, zaczęło się konanie. Około godziny siódmej wieczorem jeszcze powtórzył wyraźnie: „O Maryo, bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy“, a o siódmej już była jego dusza przed Bogiem.

Zgon jego opłakiwano powszechnie; objawiła się wtedy cześć i popularność, jaką cieszył się w Ekwadorze. Wikaryusz generalny ks. Perez, Panie Miłosierdzia, oraz wiele innych znakomitych osób życzyło sobie, by ciało zmarłego przewieziono do Quito. Żona prezydenta rzeczypospolitej, p. Anna Paredes de Alfaro, wynajęła nawet osobny wagon, który miał zwłoki przewieźć do Ambato, a stamtąd do Quito miano je eksportować automobilem. Że jednak inne było życzenie nieboszczyka, pochowano go w grobowcu siostrzeńskim w Riobamba. Mamy nadzieję, że z czasem przewieziemy te drogie szczątki do Quito, by spoczęły obok ks. Reul, na cmentarzu Seminaryum duchownego. Serce tylko jego zabrałem z sobą, by je pochować w kaplicy św. Karola w Quito, w której zmarły przez lat trzydzieści siedm odprawiał mszę św., prawił kazania i słuchał spowiedzi św.

Kiedym, stojąc nad trumną ks. Claverie, rzucił oczyma wstecz na jego długą i tak obfitą w skutki działalność, gdym ważył jego zasługi i tyle dzieł przezeń dokonanych, mimowoli nasuwało mi się pytanie, w czem tkwiła tajemnica takiej wydatności. — Powiedział św. Wincenty: „Dajcie mi męża modlitwy, a wszystko potrafi“. Modlitwa, połączona z praktyką wszelakich cnót, a zwłaszcza umartwienia, to tajemnicza sprężyna siły duchowej ks. Claverie. Wpośród niezliczonych zajęć, pochłaniających mu wszystek czas i skupiających całą jego uwagę, spieszył ks. Claverie z gorliwością seminarzysty

na wszystkie ćwiczenia, wstawał codzień o czwartej i odprawiał wspólną medytacyę, nie opuścił nigdy adoracyi Najśw. Sakramentu, czytania duchownego, Pisma św. i naśladowania Chrystusa. Na podróż brał zawsze ze sobą książki, by nie zaniedbać ćwiczeń duchownych, które kładł zawsze na czele wszystkich swych zajęć codziennych.



Ks. Claverie.

Ulubionem jego nabożeństwem to cześć Najśw. Sakramentu. Toteż mszę św. odprawiał z nadzwyczajnem skupieniem i pobożnością, a na adoracyi trawił nieraz długie chwile. Po modlitwach wieczornych, które od dłuższego czasu odprawiamy o godzinie ósmej, zostawał zwykle przez całe pół godziny przed Najśw. Sakramentem. A w czasie krótkich adoracyi po posiłku tak się nieraz w ostatnich czasach zapominał, że sami musieliśmy wychodzić naprzód, by mu zwrócić uwagę, że czas wyjść na rekreacyę. Innem ukochanem jego nabożeństwem to droga krzyżowa, którą co piątek odprawiał

przed udaniem się na spoczynek, a w ostatnich latach nawet częściej. Do coraz większego zjednoczenia się z Bogiem służyło mu jeszcze ćwiczenie się w ustawicznej pamięci na obecność Bożą, które sam miał zawsze w zwyczaju i drugim je pilnie zalecał.

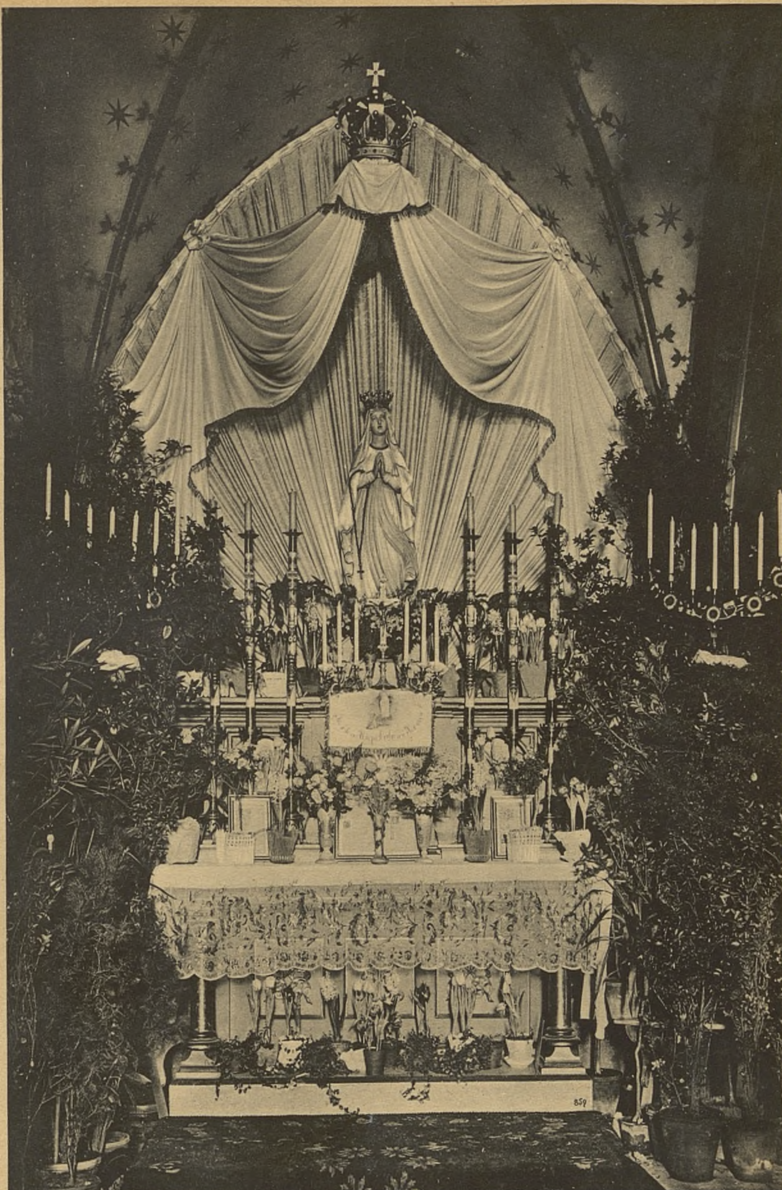
Widzieliśmy, jak wielkie dał w chwili śmierci dowody szczególniejszego nabożeństwa do Matki Najśw. Przez całe życie odmawiał codzień koronkę, a w ostatnich piętnastu latach nawet cały różaniec.

Z cnót jego najbardziej jaśniała pokora, cierpliwość i łagodność. Był z natury bardzo porywczy; tak jednak pracował nad sobą, tak umiał się zwyciężyć, że towarzysz ostatnich siedmnastu lat jego życia raz lub dwa razy tylko zauważył u niego pierwsze poruszenie niecierpliwości. Zawsze był uprzejmy i przystępny; to też kochano go powszechnie. Celował w umartwieniu, a niewinność jego serca można było z twarzy wyczytać. Po tak świątobliwem życiu spokojnie mógł czekać na ostatnią chwilę, tem więcej, że od dwudziestu lat już codziennie przygotowywał się do śmierci.

Z ks. Claverie zniknął ostatni z trzech filarów katolicyzmu w Ekwadorze. Kochany przez wszystkich biskup z Portoviejo ks. Schumacher, założyciel seminaryów, wróg heretyków, nieustraszony kapłan na modłę św. Atanazego, nareszcie męczennik z miłości i poświęcenia, to pierwsza postać. Drugim był niedawno zgasły ks. Reul, nadzwyczaj światły i wykształcony, wzór wszystkich cnót kapłańskich. A. ks. Claverie, założyciel dwudziestu pięciu domów SS. Miłłosierdzia i pierwszy ich dyrektor, podpora seminaryów i zgromadzeń, ojciec wszystkich nieszczęśliwych, to według wyrażenia jego przyjaciela poety, Don Belisario Penna, św. Wincenty ekwadorski. — Te trzy imiona wielkich synów św. Wincentego à Paulo niezatartemi głoskami zapisały się w pamięci obywateli rzeczypospolitej Ekwadoru.

Ks. Cypryan Hermet.

1858—1908.



Pamiątka Jubileuszu Objawienia się Matki Boskiej w Lourdes, obchodzonego w Kościele Ks. Ks. Misyonarzy w Krakowie na Kleparzu, dnia 11. Lutego 1908.

Jubileusz Najświętszej Panny z Lourdes w Krakowie na Kleparzu.

Niema już chyba dzisiaj zakątka na ziemi naszej, gdzieby Lourdes nie było znane. Lourdes imieniem swojem cały świat napełniło. Wszyscy je znają, wszyscy je powtarzają: ze czcią i uwielbieniem ci, którzy z wiarą patrzeli na wielkie wypadki w Lourdes lub o nich słyszeli; z wdzięcznością ci, którzy sami na sobie doświadczyli hojnej łaskawości Niepokalanej Panny lourdeńskiej; niestety także z powątpiewaniem, ironią, lekceważeniem niektórzy, co w zbyt ciasnych ramach praw przyrody pomieścić nie mogą wielkich zdarzeń, zaszłych u północnych gór Pirenejskich; a jednakże wszyscy wspominają Lourdes, wszyscy je znają.

Poznało dobroć niewyczerpaną Niepokalanej i Zgromadzenie nasze, i nauczyło się cenić Ją i kochać. Bo i jakżeż miało nie przyjść do tego, skoro sama Matka Najświętsza stokrotnie nam okazała, że tu, w tym małym kościółku utworzyła sobie jakoby wydział darów, jakie z Lourdes spłynąć miały na Jej dzieci z polskich krain. Chlubić się możemy tem, że Matkę Boską z Lourdes Polska, a co najmniej prosty nasz ludek, przez nas poznał i przez nas pokochał.

Rok bieżący jest rokiem jubileuszowym Niepokalanej, zjawionej na skalnych urwiskach massabielskich. Cały świat katolicki gotuje się w świetnych uroczystościach złożyć Jej publiczne podziękowanie za pięćdziesięciolecie macierzyńskiej opieki i królewskich darów. Błagać będzie o nowe łaski! Z hołdami do Niej pospieszy. „Błogosławioną zwać Ją będą wszystkie narody“. Całem sercem odczuwaliśmy to, że i nam wypada, miłym naszym obowiązkiem jest, złączyć się z tym

wspaniałym chórem i zgodnie z nim zawołać: *Visitasti terram et inebriasti eam, multiplicasti locupletare eam.*

* * *

Wpierw wszakże parę słów o tem, jak u nas się rozwijało i jak objawiało nabożeństwo do Najświętszej Panny z Lourdes.

Powiedział gdzieś jeden z najgłębszych naszych myślicieli katolickich, ks. M. Morawski, że dogmat to myśl w Kościele Bożym, a nabożeństwo to serce katolickie. W stosunku do Najświętszej Maryi Panny ta myśl katolicka wspaniale się wypowiedziała w r. 1854, znalazłszy godny siebie wyraz w pełnem zapału i polotu religijnego orzeczeniu z katedry św. Piotra, zawartem w bulli *Ineffabilis* Piusa IX., w tym dogmacie, który nowym blaskiem opromienił koronę chwały Najświętszej Dziewicy. Ten trafny i wzniosły wyraz myśli katolickiej to dogmat Niepokalanego Poczęcia.

Ale w hołdzie ludzkości dla Niepokalanej musiało się odezwać i serce. A doprawdy nigdy struna uczucia nie zadźwięczała równie potężnie, jak w tych momentach, w których rozchodziło się o Maryę. Starczy przypomnieć dni Efezu, broniącego godności Matki Najświętszej, starczy wskazać na entuzyastyczne oznaki czci, przywiązania i gorącej miłości całego świata dla Niej w r. 1904. Jak w świetnej koronie chwały Maryi najjaśniejszym i najszlachetniejszym kamieniem jest Jej Niepokalane Poczęcie, tak też przedewszystkiem — i to w naszych czasach — najbujniej rozkwitnął kult Maryi jako Niepokalanej. Że zaś Najświętsza Panna tem właśnie nabożeństwem najbardziej się cieszy, że Sama go pragnie i od nas się go domaga, tego dowodem niewątpliwym są Jej objawienia z ostatnich czasów, w których występuje jako Niepokalanie Poczęta (cudowny medalik 1830, Lourdes 1858), jako taka każe się czcić i jako taka najhojniejszych łask udziela.

Jak bardzo kochaną jest Najświętsza Panna w naszym kościele, jak rzewne nabożeństwo do Niej okazują nie tylko

miejscowi, ale i z dalszych stron pochodzący, o tem świadczy już sam fakt, że przed Jej ołtarzem najliczniej gromadzą się wierni w czasie nabożeństw i rzec można, gdyby we dnie i w nocy stał kościół otworem, to przecież przed Matką Boską nigdy nie zabrakłoby klęczących, pogrążonych w modlitwie. Kiedy w kłopotach swoich chcą ubłagać P. Boga, czynią to najczęściej przez wysłuchanie mszy św. przed Jej ołtarzem. Najchętniej słuchają kazań, gdy im się mówi o Matce Najświętszej. Na uroczystości Matki Boskiej zawsze jest tu więcej ludu, niż w inne święta. Ze szczególniejszem upodobaniem uczęszczają na nabożeństwa majowe. Rok jubileuszowy 1904. i tutaj przyniósł niejednę pociechę macierzyńskiemu sercu Niepokalanej, a w czasie uroczystych nabożeństw jubileuszowych tegorocznych wszystkich twarze jaśniały szczerą radością z uwielbienia Maryi.

Czem mogą, przyczyniają się do przyozdobienia ołtarza; co mają, oddają chętnie dla Matki Boskiej. Przeważnie ofiarodawcy chcą pozostać bezimiennymi. Od takiego właśnie pochodzi korona na skroniach Matki Najświętszej. W kilka lat później również bezimiennie darowano drogie kamienie do korony. Poza tem upominki, składane Matce Najświętszej, nie są darami bogatymi, nie ubierają ołtarza w luksusowy przepych; ofiarodawcy są przeważnie sami ubodzy. Wszakżeż serc ochota i szczera życzliwość podnoszą ich wartość. Wielu tak pamięta o Niepokalanej, że pierwszy kwiatek wiosny i ostatnia róża jesieni z pewnością przez nich ofiarowane będą Matce Boskiej. W najpiękniejsze dni wiosny, w miesiącu Maryi, można było dotąd każdego roku zauważyć wiązanki konwalii na naszym ołtarzu. To dwoje rodzeństwa, brat i siostra, uważali za swój obowiązek od najmłodszych lat już każdego roku z wiosną pójść na Skały Panieńskie i stamtąd przynieść konwalii dla Najświętszej Panienki. Ktoś inny, ciężko chory, bawił dla kuracyi na stacyi klimatycznej. Gdy się wreszcie przekonano, że stan zupełnie beznadziejny, zapragnął przed zgonem raz jeszcze coś uczynić dla Matki Boskiej. Zerwał mdlejącą już ręką dziewięć szaro-

tek z nad urwisk tatrzańskich, wrócił do domu i złożył je tu, na ołtarzu. Może dobrze będzie przypomnieć znany zresztą fakt, że pewna Siostra Miłosierdzia, zachorowawszy wśród roku jubileuszowego 1904, pragnęła przed jego końcem umrzeć i o tę łaskę nieraz kazała prosić dla siebie przed naszą Matką Boską. Otrzymała ją rzeczywiście, zakończenie roku jubileuszowego Niepokalanego Poczęcia obchodziła już w niebie z chórami anielskimi. To znowu pewien obywatel kleparski w swoim ogródku oddzielił kawałek gruntu w tym celu, aby na nim hodować kwiaty dla Matki Najświętszej, a co najpiękniejsze z nich przynosić do Misyonarzy na Jej ołtarz. Inni pracę rąk swoich oddają Niepokalanej Pannie, składając w ofierze robótki, nad któremi nieraz i rok cały trzeba było ślęczeć. Są też i tacy, co poza ściśle obowiązkową pracą i chwilki wolnej nie mają; pociechę w tem widzą dla siebie, gdy krwawo zapracowanego grosza dla Niej się wyzbywają.

Ale jeszcze jeden objaw nabożeństwa do Najświętszej Panny.

Upatruję go w nadzwyczajnie wielkiem rozpowszechnieniu pieśni do Matki Boskiej z Lourdes. Jest nią dobrze znana pieśń: „Po górach, dolinach". Rzadko która pieśń religijna zyskała tak rychło i to tak szerokie prawo obywatelstwa wśród ludu. Ułożona przez jednę z Sióstr Miłosierdzia, zrazu znana i śpiewana tylko u nas, na Kleparzu, wkrótce potem rozeszła się po całej polskiej ziemi; na rekolekcyach, jak również i na misyach nauczyli się Polacy Matkę B. tą pieśnią chwalić w domach i chatach, w miastach i na wsi w tej pieśni Jej cześć oddają. Dziś, zdaje się, lud nasz „s w y c h m y ś l i p r z ę d z ę i s w y c h u c z u ć k w i a t y" względem Matki Najświętszej w tej pieśni składa, a przynajmniej w niej znalazł je złożone. Wszędzie bowiem, przy wszystkich okolicznościach religijnych, można ją słyszeć, przy pracy na roli i przy nabożeństwie, na równinach i na skalnem podhalu, po górach i po dolinach, w domu, w szkole i w kościele dźwięcznem echem rozbrzmiewa refren tej pie-

śni: *Ave, ave*. Piękna, czysta, dźwięczna, jasna, jak dzwon melodya jej w najliczniej zwiedzanych miejscach cudownych: w Kalwaryi, w Częstochowie, w Krakowie i w Mogile wyrywa się z tysiąca wiernych piersi i wzbija się ku niebu, do tronu Najświętszej Panienki. Widać i treść i melodya jej trafiły do przekonania i charakteru ludu naszego.

Od lat kilku, mniej więcej 5—6 idzie za nią inna pieśń: „Anielską pieśń dzwon gra", którą napisał ks. A. Buczkowski, Misyonarz. Może i ona tak się przyjmie, jak poprzednia; może i ona z czasem przejdzie do skarbca pieśni ludowych, wszakże najprawdopodobniej nie tak rychło, bo przystęp do ludu jest jej utrudniony pewną wytwornością, trudniejszą rytmiką melodyi i wiersza. Lepsza pod wielu względami od poprzedniej, wyższa od niej silniejszem uczuciem duszy, szczerze stęsknionej za niebem, ma ona przecież — a może też właśnie dlatego — mniej danych po temu, by się stać rychło pieśnią ludową.

Podobnych objawów serdecznej czci dla naszej Matki Boskiej możnaby bez wątpienia daleko więcej wyliczyć, gdyby one nie pozostały tajemnicą pomiędzy Matką Najświętszą a Jej czcicielami. Są to, co prawda, wszystko drobnostki same w sobie, ale właśnie w takich drobiazgach najlepiej okazuje się dziecięca miłość, serdeczna, pełna prostoty życzliwość *amor benevolentiae*.

Wielką jest wiara w potęgę Maryi i wielką ufność w Jej dobroć. Upodobała sobie Matka N. być „uzdrowieniem chorych" za pośrednictwem wody z cudownego źródła w Lourdes. To też tysiące sięgają po tę wodę, aby po gorzkich rozczarowaniach ze strony naturalnych środków leczniczych otrzymać siły i zdrowie od Maryi wbrew wszelkim rachubom ludzkim. Każdego roku rozchodzi się u nas w Polsce mniej więcej 2.000 litrów wody z Lourdes, w roku zaś 1905. nawet to nie starczyło. Przytem zauważyć trzeba, że ta ogromna ilość rozchodzi się przeciętnie w dawkach po $1/_{10}$ litra, a nawet w mniejszych, to znaczy, że woda z Lourdes znajduje się w ręku przynajmniej 20.000 osób, względnie rodzin, które

z wiarą jej używają. Oczywiście dotyczy to prawie wyłącznie Galicyi, z zupełnem wykluczeniem zaboru rosyjskiego, a częściowem pruskiego; do pierwszego bowiem takie wysyłki wprost są niemożliwe, do drugiego zaś utrudnione.

Stąd również szerzy się znajomość Najświętszej Panny w Lourdes zapomocą książeczki p. t.: „Lourdes, wiadomość o zjawieniach....“, która do tej pory wyczerpała się w pięciu wydaniach, t. j. w 10.000 egzemplarzy. Właśnie przygotowuje się wydanie szóste. Książeczka ta zanosi w najodleglejsze zakątki wieść o zjawieniach Niepokalanej, o cudownych uzdrowieniach, które zarówno przy źródle w Lourdes, jak i na naszej polskiej ziemi się dokonały.

Te ostatnie głoszą liczne vota, zawieszone na lewej ścianie obok ołtarza Matki B. To serca wdzięczne złożyły je wzamian za łaski, otrzymane od Maryi. Jest ich 300—400. Napisy na nich skromne, krótkie, przypominają napisy nagrobków katakumbowych. Ta sama w nich prostota, ta sama głęboka, żywa wiara. N. p.: „Ofiara za cudowne uzdrowienie syna“, „Na podziękowanie za odzyskane zdrowie Romusiowi“, albo ten: „Niepokalanej składa gorące dzięki za doznane łaski i opiekę — D. B.“ i inny na srebrnem serduszku: „Za uratowanie życia trojga dzieci“. Nigdzie tak bezpośrednio jak tu nie widzi i nie odczuwa się, jak dobrą jest Matka Najświętsza dla tych, którzy najbardziej Jej potrzebują. Jak w katakumbach każdy nagrobek, każdy niemal kamień świadczy o dziwnie żywo odczuwanym związku tajemniczym, który łączył chrześcijan pierwotnych z istotami świata pozagrobowego, tak i tutaj mamy nowe „świętych obcowanie“. Te różne przedmioty złożone jako wota i te napisy na nich, opowiadają, jak szczerym, jak serdecznym jest stosunek nieszczęśliwych i chorych do Matki Najświętszej.

A choć w większej ilości wypadków nie wiemy, kto umieścił ten napis i kto złożył wotum, kto uzdrowionym został i z jakiej choroby, kto jest ten „Romuś“, a kto „Marya“, jacy „rodzice“ dziękują i kto tak rzewnie woła: „Dzięki Ci, Niepokalana! Serdecznie dziękuję M. N.“, „Cześć

Ci Maryo“ — to przecież jedno jest pewnem i silnie o tem przekonani jesteśmy, przejrzawszy choć pobieżnie wota, że tu patrzymy na serdeczny stosunek wzajemny Matki i dziecięcia, że tak rzewnie, tak szczerze przemawia tylko dziecko do Matki swej; tu taka niezachwiana pewność, taka wiara, że pomoc przyszła od M. N., tak żywa wdzięczność, że dziś jeszcze, po tylu latach, drga ona życiem z tego serduszka metalowego, tu dziecko Matce swojej dziękuje.

Wspomniałem o czcicielach Najświętszej Panny, z dalszych stron pochodzących. Nie są to pielgrzymki w tem znaczeniu, co zwykłe pielgrzymki odpustowe do miejsc cudownych. Na takie kościółek nasz jest zbyt szczupły; bez porównania mniej liczne, mniej okazałe, wydają one za to skutek tem trwalszy i pewniejszy. To rekolekcye, odprawiające się tutaj z roku na rok po 5—6 razy od lat 25.

Chętnie przybywają na nie z wszystkich trzech zaborów, aby tu, u stóp Niepokalanej, przez 4 dni zastanawiać się nad potrzebami swej duszy, obmyć się z grzechów, zyskać łaskę i do stron rodzinnych, do dawnej pracy, wrócić z nowym duchem i z siłami nowemi. Jak w Lourdes wołała: „Pokuty, pokuty“ tak i tutaj zdaje się wszystkich do niej wzywać. I słuchają Jej głosu, bo w każdych rekolekcyach bierze udział przeciętnie 400 osób. A zatem wszystkich razem w przeciągu jednego roku mniej więcej 2.400. Zapewne Niepokalana ze szczególniejszem upodobaniem patrzy na tych prostaczków, tak skwapliwie korzystających z łask Bożych, błogosławi im i hojnie ich proste dusze obdarza. I jeżeli się dziś tak powszechnie podnosi się potrzebę silniejszego niż kiedykolwiek zaakcentowania pierwiastka nadprzyrodzonego w życiu, jeżeli i Namiestnik Chrystusów do pracy w tymsamym kierunku wzywa, to tutaj dokonywa się to pod okiem Niepokalanej.

Że zaś w szerzeniu nabożeństwa do Najświętszej Panny z Lourdes te rekolekcye mają bardzo wielkie znaczenie, jest rzeczą niewątpliwą, bo pomiędzy innemi dowiadują się ci ludzie w naukach rekolekcyjnych o cudownych Jej sprawach,

w Lourdes dokonanych lub nawet w tym kościele. I tak n. p. w styczniu i w lutym b. r. odprawiły się 3 serye rekolekcyi, a ponieważ to już był rok jubileuszowy, dlatego też wszystkie wieczorne nauki do nich miały za przedmiot Matkę Najświętszą z Lourdes. Słuszną było rzeczą, aby wszyscy w roku jubileuszowym biorący udział w rekolekcyach, w ten sposób otrzymali dokładną wiadomość o objawieniach w Lourdes i o najważniejszych cudach, zdziałanych za pośrednictwem wody z cudownego źródła.

Skoro już mowa o najdalszych nawet czcicielach naszej Najświętszej Panny, niechże też wolno będzie powiedzieć słów kilka o tych, którzy są lub byli najbliżej. Mam tu przedewszystkiem na myśli ks. Piotra Soubieille, dawniejszego wizytatora Zgromadzenia. Co się stało w Polsce dla Matki Boskiej z Lourdes, wszystko to stanęło jego zasługą, a przynajmniej początki Jej czci jego są dziełem. On to, przybywszy z Francyi w chwili, gdy w niej szeroko rozbrzmiewała chwała Najświętszej Panny z Lourdes, gdy wszyscy Nią byli rozentuzyazmowani, zaczął i w Polsce szerzyć znajomość Jej i cześć. Zrazu jedynym przybytkiem Jej czci w Polsce była kaplica (w miejscu dzisiejszego refektarza z wejściem od ulicy). Tu starał się szerzyć gorąco nabożeństwo do Niej wśród wiernych, jakkolwiek z trudem wielkim dlań to było połączone; miewał tu do nich nauki, opowiadając o dziwnych nadprzyrodzonych wypadkach w mieścinie podpirenejskiej; czynił to samo i w prywatnych rozmowach i już wtenczas sprowadzał wodę z cudownego źródła. Jego też staraniem wyszła książeczka p. t. „Lourdes“, o której powyżej była mowa. Wkrótce to miejsce czci dla Niepokalanej okazało się zbyt szczupłem. Tuż obok więc wybudował kościółek w stylu gotyckim według planu architekta Prylińskiego. Kiedy nuncyusz apostolski Jacobini konsekrował kościół dnia 2. września 1879 r., wtenczas też już w nim stał ołtarz Najświętszej Panny z Lourdes, figura tylko Matki B. była inna, nie ta, która dziś w nim się znajduje. Przez kilka lat obie boczne nawy kościoła podzielone były na kaplice,

dziś już nie istniejące. Tworzyły je ściany poprzeczne do długości kościoła, a wypełniające łuki pomiędzy filarami naw bocznych. Otóż w jednej z takich ciasnych kapliczek stał i ten ołtarz, wszakże w pozycyi, którą i dziś jeszcze zajmuje. Ołtarz stosownie do stylu kościoła jest gotycki. Skład figur jest tego rodzaju, że żywo przypomina cudowne zjawienia Niepokalanej u stoków gór Pirenejskich. Zapewne też ten zamiar był myślą przewodnią w chwili jego wykonania; i w ten sposób mamy tu streszczenie tego, co działo się w Lourdes w 1858 r. W środku ołtarza Niepokalenie Poczęta, po prawej Jej ręce anioł z godłem: „Na tej skale niech zbudują mi kościół", a po lewej drugi anioł, trzymający napis: „Pokuty". Te trzy figury to przedstawiciele trzech najpiękniejszych i najwznioślejszych momentów z dziejów objawień Najświętszej Panny z Lourdes, a mianowicie z dnia 23. lutego, z 24. tego samego miesiąca i z 25. marca.

Ale myśl ś. p. ks. Piotra Soubieille nie spoczęła; pragnął postawić kościół Jej wyłącznie czci poświęcony. To kościół na Nowej Wsi Narodowej.

Jednym z ostatnich jego aktów czci dla Matki B. z Lourdes było ukoronowanie Jej statuy w ołtarzu naszym dnia 20. kwietnia 1899 r.

Mamże jeszcze wspomnieć o prawdziwie dziecięcej czci i miłości ku Matce Najświętszej, jaka zawsze cechowała wychowanków małego seminaryum? W czasie mszy św., w czasie nabożeństw i nawiedzenia Najśw. Sakramentu zawsze byli na chórku. Tu stał z lewej strony ołtarzyk Najświętszej Panny z Lourdes. Ponieważ przed Jej ołtarzem w dolnej nawie kościelnej nie mogli bywać, więc tutaj, przed tym ołtarzykiem zawsze się modlili. Budowaliśmy się nieraz gorącą modlitwą pobożniejszych kolegów. Tu składali oni strapienia młodocianych serc swoich, tu szukali pociechy i pomocy, tu przedłużali, o ile to możliwem było w granicach regulaminu, modlitwy swoje, tu wiara ich w potęgę Maryi się ożywiała, objawiała się ich ufność w Jej dobroć i rozpłomieniała dziecięca, szczera, prosta miłość. A ta według

wyrażenia Apostoła narodów „przemyślna jest“. Okazało się to i tutaj. U stóp Matki Boskiej na postumencie figury było złożone srebrne serduszko. Postarał się o nie któryś z tych gorących czcicieli Maryi. Wydrążone wewnątrz, dało się ono w połowie otwierać. Napełnione było mnóstwem karteczek, zapisanych literami nadzwyczajnie drobnemi, ledwie czytelnemi. Były to prośby wychowanków małego seminaryum, listy pisane do Najświętszej Maryi Panny z niezachwianą nadzieją, że Ona te prośby wysłucha. Nic dziwnego zresztą, że tak bardzo kochali i czcili swoją Matkę ci, którzy mieszkali tuż pod Jej okiem, pod jednym z Nią dachem, którzy wychowywali się pod Jej opiekuńczemi skrzydłami. Uświęconym zwyczajem było „Magnificat“, śpiewane wspólnie przez wszystkich wychowanków po każdej komunii św. i „o Maryo bez grzechu poczęta“, które śpiewano codziennie bez wyjątku pod koniec mszy świętej.

* * *

Jednem słowem zyskała Matka Najświętsza gorące, serdeczne przywiązanie tych wszystkich, którzy Ją poznali. To też skoro tylko rzucono myśl uroczystego uczczenia pięćdziesięciolecia Najświętszej Panny z Lourdes, a z zachodu dochodzić zaczęły pierwsze wieści o przygotowaniach, jakie się w tym celu czynią, nie chcieliśmy, nie mogliśmy pozostawać w tyle za innymi, byłoby to niewdzięcznością z naszej strony i zapominaniem się w najświętszych obowiązkach, gdybyśmy się dali wyprzedzić. W Lourdes ułożono już program uroczystości, rozkładając je w na cały rok i grupując je w 5 oddzielnych świąt według najważniejszych momentów w historyi objawień. I tak: 1) od 9.—11. lutego na pamiątkę pierwszego objawienia; 2) 25. marca jako rocznica dnia, w którym Matka N. powiedziała: „Ja jestem Niepokalane Poczęcie“; 3) 16. lipca jako dzień 18. i ostatniej zarazem wizyi; 4) w niedzielę pierwszą października jako niedzielę Różańca św., dnia 4. października; 5) wreszcie na zakończenie roku jubileuszowego 11. lutego 1909. r. — Na uroczystości od

9.—11. lutego wysłał Ojciec św. w charakterze swojego delegata ks. arcybiskupa z Bordeaux, Wiktora Lécot, siedmiu biskupów i arcybiskupów brało udział w nabożeństwach przez całe 3 dni, a kazania głosili naprzemian ks. Rumeau, słynny mowca religijny i biskup z Angers, oraz ks. Schoepfer, biskup z Tarbes, do którego dyecezyi i Lourdes należy. Liczne tłumy wiernych z przeróżnych stron świata katolickiego podnosiły poważny nastrój chwili. Inne miasta katolickie częścią u siebie obchodziły już lub jeszcze obchodzić będą jubileusz Matki B., częścią zaś przybędą w tym celu do Lourdes. Dotąd już przeszło 70 pielgrzymek zgłosiło swój przyjazd do Lourdes w przeciągu roku bieżącego.

Cośmy zrobili dla Matki Najświętszej, nie może oczywiście pójść w porównanie z tem wszystkiem, nie było ani w przybliżeniu tak świetnem i być nie mogło; ale zrobiliśmy, co tylko było w naszej mocy, na co tylko nas stać było. Obchodziliśmy jubileusz przez 3 dni: 9., 10. i 11. lutego. Już dnia 8. lutego, w sobotę o godz. 5 odprawiono pierwsze nieszpory solenne, które w połączeniu z kazaniem były nabożeństwem wstępnem. Przez następne 3 dni, t. j. niedzielę, poniedziałek i wtorek odprawiały się przed ołtarzem Matki B. z Lourdes msza św. jedna po drugiej aż do sumy. Pierwsza msza św. śpiewana o godz. $5^1/_4$, o godzinie 8 uroczysta msza św. z asystą, a o godz. 10 suma przed wielkim ołtarzem i w czasie sumy kazanie; po południu o godz. 5 nieszpory i kazanie. Pierwszą sumę, t. j. w niedzielę dnia 9. lutego odprawił ks. biskup Nowak. W czasie wszystkich nabożeństw jubileuszowych chór kleryków naszych niestrudzenie wykonywał różne śpiewy na uczczenie Matki Najświętszej. Wystawienie Najświętszego Sakramentu ołtarza trwało przez wszystkie 3 dni od pierwszej mszy św. aż do ostatniego wieczornego błogosławieństwa. Dla wiernych, biorących udział w jubileuszu i spełniających przytem zwykłe przepisane warunki, uzyskaliśmy od Ojca św. odpust zupełny, odpust zaś cząstkowy 7 lat i 7 kwadragen dla wszystkich zwiedzających.

Na cały czas jubileuszowy kościół nasz przybrał szatę świąteczną. Najwięcej oczywiście starań poświęciliśmy ołtarzowi Matki Boskiej. Przestrzeń od ołtarza Matki B. aż do pierwszych filarów z jednej i z drugiej strony zamieniono na kaplicę, oddzieloną od reszty kościoła przenośnemi balaskami i pewnego rodzaju portalem, który powstał z pierwszego łuku gotyckiego pomiędzy filarami wskutek tego, że łuk ten ubrany był wieńcem zieleni i drugim wieńcem świateł elektrycznych. Wewnątrz tak uformowanej kaplicy posadzka wysłana dywanami i pąsowem suknem, na ścianie po lewej ręce dwie ramy z 300—400 błyszczącemi wotami, a tam dalej w głębi ołtarz Niepokalanej, po obu bokach ołtarza piramidy z zieleni i kwiatów, strzelające wysoko aż do pierwszych żebrowań sklepienia, a wśród nich porozrzucane lampki elektryczne. Górną część ołtarza zupełnie usunięto, tak że na całej przestrzeni jego nic więcej się nie znajdowało, tylko sama figura Matki B., a ta, odnowiona, na tle błękitnej jak wiosenne niebo draperyi, ułożonej w promienie z poza figury wychodzące, stojąc z koroną srebrną na głowie, z drugą dekoracyjną koroną wysoko ponad sobą, odtwarzała w duszach rozmodlonych wiernych tajemnicze zjawienia w Lourdes. Widok Jej wywierał na nich niezaprzeczony, jakiś dziwny, nieprzeparty urok. Ubrana w jasną szatę nieskalanej swej niewinności, z przepaską błękitną, z różańcem na prawej ręce, z złotą różą na stopie — to prawdziwie ta sama Pani, którą oglądało biedne dziewczę z Lourdes; ta przeczysta, cudna lilia, która wśród zimy wyrósłszy na skalistym gruncie Pirenejów, powiedziała o sobie, że jest „Niepokalanem Poczęciem“; to w każdym rysie aż do najdrobniejszych szczegółów ta Niepokalana Dziewica, którą Henryk Lasserre według opowiadania dziewczęcia opisał z takim wdziękiem, z taką dla świętego przedmiotu miłością, w tak pysznych barwach niezrównanie świetnego stylu, tem świetniejszego, z im większą przemawia prostotą.

W tej to postaci Matka Najświętsza objawiła się Bernadecie Soubirons zaraz w pierwszem widzeniu, dnia 11. lu-

tego 1858. r. Taką też była we wszystkich innych widzeniach aż do ośmnastego, t. j. do ostatniego z nich, które miało miejsce dnia 16. lipca t. r. Zachodziły oczywiście za każdym razem pewne zmiany, zależne od ruchu odpowiedniego wśród danych okoliczności. I tak n. p. kiedy Bernadetta z naiwną natarczywością dopytywała się tej Pani o Jej imię, wtenczas ze słodkim uśmiechem skłaniała ku niej swą głowę Niepokalana; kiedy trzykrotnie zawołała „pokuty“ i kazała się modlić za grzeszników, oblicze Jej pokrył smutek tak wielki, iż wrażenie jego spostrzegli otaczający grotę widzowie na twarzy dziewczęcia; to znowu kazała Bernardce odkryć źródło, miejsce jego wskazując ruchem ręki; zwykle różaniec trzymała w ręku i w palcach przesuwała ziarnko jedno po drugiem, w chwili zaś, gdy chciała powiedzieć swoje imię, opuściła różaniec na prawą rękę, ręce złożyła, oczy wzniosła ku niebu i powiedziała: „Ja jestem Niepokalane Poczęcie“, zaznaczając w tak uroczysty sposób bezwzględnie Jej przysługujący przywilej. Było to dnia 25. marca 1858. r. Tę właśnie chwilę uchwycono i o ile to było możliwem, zakuto tę nadziemską piękność, te niewypowiedziane wdzięki i kształty w twardy materyał. Nasza Matka Boska jest wierną kopią Niepokalanej, zjawionej w Lourdes.

W jednym tylko szczególe odstępuje od pierwowzoru swojego. „Niepokalanie Poczęta“ we widzeniach Bernardki nie ma na głowie nic prócz białej zasłony, spływającej z obu stron po szatach aż ku stopom. Naszej Matce Boskiej przyozdobiliśmy skronie przepięknej roboty srebrną, pozłacaną koroną, w której błyszczą 3 duże chryzolity i 4 dyamenty i w ten sposób przybyły Jej nie tyle blaski z promieni drogich kruszców i kamieni, ile raczej królewski przepych „znaku wielkiego na niebie, owej niewiasty tryumfującej, przyobleczonej w słońce, z księżycem pod nogami, a na głowie Jej korona z gwiazd dwunastu“.

Jakkolwiek wychodząc z założenia, że w Krakowie dużo jest kościołów i na brak nabożeństw bynajmniej skarżyć się nie można, mógłby był ktoś zrazu sądzić, że może w dni

powszednie jubileusz nie zgromadzi wielkiej ilości wiernych w kościele naszym, to przecież wkrótce można się było przekonać, że choćby kościół był i kilkakroć obszerniejszym, jeszcze nie byłby zbyt dużym dla tych ogromnych ilości, które chciały brać udział w nabożeństwach do Najświętszej Panny. Od najwcześniejszego poranku aż do wieczora kościół był pełny i to zarówno w niedzielę jak i w dni powszednie. Tłumy oblegały konfesyonały; a ponieważ wielu pojmowało ten jubileusz w znaczeniu jubileuszu „miłościwego lata", dlatego też uprosiliśmy ks. Biskupa dla wszystkich księży, którzy przez te 3 dni spowiadać będą w kościele naszym, o przywileje, prawie dorównywające tym, które spowiednikom przysługują w miłościwem lecie. Dowodem, jak ochotnie i gromadnie korzystano z łask jubileuszowych, niech będzie fakt, że 3.000 z okładem osób przystąpiło do Stołu Pańskiego w przeciągu tych trzech dni. Dać zrozumienie chwili, żywo uprzytomnić słuchaczom to, co działo się 50 lat temu w Lourdes, było zadaniem kazań. Było ich siedm. Wszystkie wygłoszone przez księży naszego Zgromadzenia, były tak rozłożone, że dawały całokształt historyi objawień w Lourdes; a ponieważ każde z nich było oparte o jeden z ważniejszych momentów w dziejach tych objawień, przeto kaznodzieja miał sposobność równocześnie rozwinąć znaczenie, jakie dla religii i ludzkości miały zarówno widzenia Bernadetty jak i cuda, spełnione przez Matkę Najświętszą. Z zadziwiającem zainteresowaniem słuchano tych nauk. Najwidoczniej żywo wszystkich obchodziło, co kapłani im mówili o Tej, którą oni tak szczerze pokochali. W program pierwotny wchodziła także i procesya z Najświętszym Sakramentem, ale czasem trudno ją było odprawić, a czasem wcale nie było można. Najwięcej uczestników jubileuszu przybywało na nieszpory. W ostatni wieczór nie tylko sam kościół był szczelnie zapełniony, ale i w zakrystyi stali i na korytarzach i we furcie, a nawet przed kościołem, kto tylko dosłyszeć mógł słów kaznodziei, czy dojrzeć żarzących świateł, stawał z nabożeństwem pomimo ostrego mrozu. Po wie-

czornem błogosławieństwie we wszystkie 3 dni długo jeszcze zostawali w kościele i długo jeszcze rozlegała się pieśń „Po górach, dolinach". A kiedy skończyło się triduum, żal się im zrobiło, że tak rychło nastał koniec i prosili o przedłużenie nabożeństw. To też wbrew pierwotnemu planowi i tylko pod wpływem nalegań jeszcze przez całą oktawę codziennie rano o $5^1/_4$ odprawiała się msza św. z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, o godz. 8 msza św. śpiewana, a wieczorem błogosławieństwo. Myśl o reprodukcyi ołtarza jubileuszowego na pamiątkę również nie od nas wyszła, ale z zewnątrz nam narzuconą została.

Już złożyliśmy hołd Niepokalanej. — Już przebrzmiały echa dźwięków jubileuszowych.

Wdzięczność nas spowodowała do tych publicznych hłdów dla Matki Najświętszej z Lourdes. To u nas Ona otworzyła „łask swoich skarbnicę", któremi hojnie szafuje na całą polską ziemię. To tu, pod Jej macierzyńskiem okiem wyrośliśmy wszyscy. To stąd Zgromadzenie rozrosło się szeroko po świecie, stąd jak z gniazda orlego rozsełyjąc wszędzie coraz to nowych członków. Jej opiece zawdzięczamy wszystko, czem jesteśmy i co mamy. To też kończąc jubileusz z żalem, kończyliśmy z tem wrażeniem i z tem przekonaniem, że i te 3 dni na nas wszystkich, na lud i na Zgromadzenie sprowadziły nowe łaski, kończyliśmy z uczuciem wdzięczności w sercu: *Visitasti terram et inebriasti eam, multiplicasti locupletare eam.*

Ks. W. Szymbor.

KRONIKA.

Chiny. — Śmierć męczeńska ks. Canduglii. — Zbliżała się siódma rocznica słynnego powstania bokserów w południowych Chinach, krążyły wszędzie wieści, że sekciarze chcą krwawo święcić tę pamiątkę. Począwszy od lipca, urządzali fanatycy zwłaszcza w prefekturze Kiangsi nocne schadzki po pagodach, gdzie proklamowano rzeź cudzoziemców i zagładę wszelkim obcym urządzeniom i zwyczajom. Po ulicach rozlepiono plakaty, zapowiadające krwawy dzień dla chrześcijan, raz po raz odzywał się chiński tamtam, napadano na stacye misyjne. Niezwykłe wrzenie panowało zwłaszcza w okolicach olbrzymiej wioski Ta-ho-ly, gdzie już przez 22 lat pracował ks. Canduglia, jednając sobie coraz większą miłość i przywiązanie Chińczyków. Od 4-rech lat pomagał mu w trudach misyjnych ks. Lecaille, kapłan roztropny i bardzo energiczny. Ponieważ w powietrzu już czuć było nadchodzącą burzę, zwracali się obydwaj konfratrzy kilkakrotnie do podprefekta w Nan-kang i mandaryna w Kiang, ale zaledwie 40 tchórzliwych żołnierzy rozmieszczono w zagrożonym okręgu, podczas gdy bokserów mogło na dane hasło odrazu kilka tysięcy za broń pochwycić. Od września włóczyły się po okolicy coraz liczniejsze watahy powstańców, szał opanowywał coraz wyraźniej chińską ludność, mówiono głośno o blizkiej katastrofie.

W miarę jak się zbliżała rocznica (22. września), chrześcijanie, w liczbie 800, gotowali się coraz energiczniej do obrony, uzbrajano się w długie oszczepy, czyszczono zardzewiałe pałasze, kupowano drut dla przetopienia go na kule;

w kościele zabarykadowano wszystkie wejścia, na trybunach zaś pod oknami przygotowano kamienie i wapno na wypadek napadu. W samą rocznicę ograniczono się do nieszkodliwych manifestacyi, natomiast 24. września zjawiło się na sąsiednich wzgórzach około 1000 bokserów, ubranych w czerwone zawoje i pasy. Wykonawszy bezskuteczny atak na wioskę, cofnęły się bezładne tłumy, a chrześcijanie wysłali osobnego gońca do prefektury z wieścią o krytycznem położeniu. Nazajutrz przybył istotnie sukurs olbrzymi: 1 oficer z 10 żołnierzami o zafrasowanych, zalęknionych twarzach. Około pierwszej godziny po południu zjawili się znowu bokserzy, ale już w liczbie przeszło 10.000 i podpaliwszy i zrabowawszy najdalsze domy, dotarli około 5-tej godziny do samego centrum Ta-ho-ly. Ksiądz Lecaille, niemal sam przytomny podczas powszechnego popłochu, kazał się chrześcijanom schronić do kościoła; przerażony zaś oficer, wskoczywszy do lektyki, począł z żołnierzami uchodzić jedyną jeszcze, jak się zdawało, niezajętą przez bokserów drogą. Dał się oficerowi do ucieczki namówić także ks. Canduglia. Zaledwie jednak uszli o sto kroków, kiedy wpadli na duży oddział powstańców. Ks. Canduglia błogosławi po raz ostatni garstce towarzyszących mu chrześcijan i ściska rękę sługi, który go nie chciał opuścić w krytycznej chwili.

Napróżno oficer na klęczkach woła o litość i upamiętanie, kula przeszywa jego serce, a cztery oszczepy odrazu utkwiły w piersi ks. Canduglii. Jeden z bokserów odciął natychmiast głowę zamordowanego Misyonarza, poczem wydarto mu serce, z którego sobie na poczekaniu urządzili wstrętną biesiadę trzej przywódcy. Dla chrześcijan, zamkniętych w kościele, nadeszły chwile groźne; to też w murach świątyni odzywały się rozpaczliwe płacze i wołania o pomoc. Wtedy ks. Lecaille kazał wszystkim paść na kolana dla obudzenia aktu żalu i udzielił wśród powszechnego łkania generalnej absolucyi. Potem zachęcił kilku odważniejszych, żeby przez okna ze strzelb razili bokserów, skradających się chyłkiem pod mury dla podpalenia bram, inni mieli gasić

wszczynający się pożar. Nie zdołano wprawdzie uratować sąsiedniej szkoły, ale w kościele broniono się aż do nocy. Kiedy znużeni napastnicy odstąpili od oblężenia, wykradł się ks. Lecaille z chrześcijanami przez jedyną niestrzeżoną bramę z kościoła i wśród ciemności nocnej uszedł do najbliższej stacyi misyjnej w Kangczeu. Ale i stamtąd trzeba było nazajutrz uciekać razem z księżmi Schottey, Molinarim i Verrièrem, bo lud podpalił kościół, rezydencyę, seminaryum i schronisko dla sierót. Dopiero po 4-dniowej tułaczce zdążono do Kingan, gdzie ich przyjął z otwartemi rękoma ks. Pérès, sprawujący urząd prowikaryusza, ks. Ciceri bowiem, prokurator w Szanghaju, nie przyjął nominacyi na biskupstwo dla nadwerężonego zdrowia.

Kuba. — Pomimo utraty znacznej liczby posterunków wskutek zaburzeń rewolucyjnych w r. 1898, posiadają jeszcze Siostry Miłosierdzia na Kubie 16 domów: 8 w Hawannie, 1 w Bejucal, 1 w Guines, 1 w Guanabacoa, 2 w Matanzas, 3 w Santiago de Cuba. Od r. 1851, kiedy je po raz pierwszy sprowadzono na wyspę, pracowały tak gorliwie, że nawet rewolucya nie zadała śmiertelnego ciosu ich Zgromadzeniu. Domy są przeważnie mniejsze, więc z wyjątkiem trzech liczba Sióstr dochodzi w nich zaledwie do 10, ogólna zaś liczba Sióstr Miłosierdzia na Kubie wynosi 174. Dom Niepokalanego Poczęcia w Hawannie, założony w r. 1873, jest domem centralnym Zgromadzenia. Siostry tamtejsze, w liczbie 32, zajmują się przedewszystkiem wychowaniem młodzieży. Obecnie uczęszcza do ich szkoły 507 dziewcząt: domowych i eksternistek, bogatych i biednych, białych i murzynek. Stowarzyszenia Dzieci Maryi zarówno w tym domu, jak i w innych, są na całą wyspę ogniskami życia chrześcijańskiego i czystości obyczajów. Dzieci domowe otrzymują nie tylko wykształcenie elementarne, ale zapoznają się także z gospodarstwem, tak iż wchodzą w życie z odpowiedniem przygotowaniem.

Macedonia. — List ks. Emilia Cazota do Dyrektora Stowarzyszenia „*Des écoles d'Orient*“ — Głównem naszem

zadaniem w Macedonii jest wychowanie wzorowego kleru w Seminaryum. Żeby zrozumieć doniosłość tej misyi, trzebaby się przypatrzeć życiu codziennemu tutejszych popów, którzy wprawdzie są dobrymi ojcami rodzin i zręcznymi rzemieślnikami, ale bardzo marnymi księżmi, niezdolnymi nie tylko do kazań i spowiedzi św, ale nawet do katechizacyi, Mszę św. zaś odprawiają, jak się uda. Wobec tego stanu duchowieństwa zapanowała przez długie lata schizmy wśród ludności ciemnota trudna do uwierzenia. Z wiadomości religijnych zostały zaledwie jeszcze ślady, zachwaszczone grubymi zabobonami. Z wyjątkiem ostatniego pokolenia, uczęszczającego do szkół, rzadkie tylko wyjątki zpośród mężczyzn umieją czytać i pisać, nieraz zaś się zdarza, że w całej wiosce nie ma ani jednej matki, któraby przynajmniej pacierz znała. Dzieci wychowują się wśród brudów i bez najmniejszego dozoru; w domach świeci nędza ze wszystkich kątów. Nie ma ani stołu ani stołka ani łóżka, wszyscy siedzą, jedzą i śpią na ziemi, wszystko mieszka razem w jednej izbie: ludzie i żywy inwentarz; dzieci rosną bez wszelkiej opieki, jak zwierzęta, z któremi żyją. Można sobie łatwo wyobrazić, jaka nędza musi panować w tego rodzaju warunkach, a trzeba jeszcze dodać opłakany stan polityczny kraju, gdzie rewolucye są na porządku dziennym, z każdą zaś wiosną zjawiają się oddziały rozbójnicze, siejące wszędzie mord i pożogę.

Ażeby podnieść ludność z tej niedoli, trzeba było zacząć pracę od duchowieństwa i dostarczyć każdej wiosce katolickiego nauczyciela. Podwójny ten cel osiągnęliśmy już, dzięki Bogu, w dość znacznej mierze, bo z Seminaryum wyszła pokaźna liczba dobrych kapłanów, a wszyscy nauczyciele po naszych stacyach misyjnych kształcili się pod naszym kierunkiem. Praca ta jest bardzo trudna nie tylko dlatego, że musimy utrzymywać darmo 55 seminarzystów, 6 Misyonarzy i 3 obcych profesorów, ale nadto co ważniejsza, zgłaszający się kandydaci są bez żadnego wykształcenia i nie mają żadnego pojęcia o pobożności. Dopóki sobie nie wychowamy własnych, wykształconych księży, nie opuszczamy

biednych popów, dostarczamy im stypendyów mszalnych, dopomagamy do utrzymania kościołów i urządzamy dla nich jak i dla nauczycieli coroczne rekolekcye. Jest to dla nas znaczny ciężar, bo nie tylko musimy podczas ćwiczeń duchownych wszystkich utrzymywać, ale płacimy im nadto koszta podróży. Obok pracy nad klerem w Seminaryum, podjęliśmy się w naszych domach innego jeszcze zadania: wyjeżdżamy z kazaniami do sąsiednich wiosek, gdzie jesteśmy także jakby aniołami stróżami dla młodych kapłanów, wychowanych w naszem Seminaryum, wszystkich bezżennych, i udzielamy im wskazówek duszpasterskich. Przez sobotę i niedzielę katechizujemy i spowiadamy w przyległych okolicach, wracając w poniedziałek do zwykłych zajęć szkolnych. Wskutek różnych trudności, a zwłaszcza ciągłych burz politycznych, daliśmy dopiero w ubiegłym roku dwie misye z wielkiem powodzeniem; nawróciliśmy też dwie wsie: Deli Hassan i Stojakowo.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. Najmilszem wspomnieniem z upływającego kwartału jest dla nas obchód jubileuszu N. Maryi P. z Lourdes. Dom nasz, nawet cała prowincya i wszystkie jej dzieła, powstały i rozwinęły się u stóp i pod skrzydłami tej Matki, spłacić więc chcieliśmy bodaj w drobnej części dług wdzięczności dla Maryi.

Wyżej wspomniały już o tem *Roczniki.*

Praca nasza miała ten sam charakter, co w poprzednim kwartale, czas zapustny i postny podobny do adwentowego. A zatem w dalszym ciągu odbywały się rekolekcye ludowe: w czasie trzech seryi (dla mężczyzn, dla kobiet i dla dziewcząt) wzięło udział w ćwiczeniach duchownych 830 dusz. Odbyły się nadto pod kierunkiem naszych konfratrów rekolekcye dla „Dzieci Maryi" we Wrocławiu, w Moszczanach, w Sądowej Wiszni, w Białymkamieniu, w Krakowie u św. Ludwika i u św. Stanisława, dla Pań Miłosierdzia w Rohatynie; prócz tego dano rekolekcye w Zakładzie Helclów i na

Kleparzu (dla ubogich), w kilku szkołach krakowskich, jak w liceach p. Strażyńskiej i p. Kaplińskiej, w szkole na Pędzichowie, nadto we Lwowie w szkole kolejowej i w domu karnym. Zanotować też możemy jedną seryę rekolekcyi SS. Miłosierdzia w domu Centralnym i ćwiczenia duchowne OO. Franciszkanów we Lwowie, którym przewodniczyli konfratrzy z Kleparza.

W tym czasie także odprawił ks. Steinsdorfer czterodniową misyę w Rozwienicy, a ks. Rossmann w Synoucku. Ks. Szymbor pomagał ks. ks. Koniecznemu, Tyczkowskiemu i Krzyszkowskiemu na misyach w Czerminie, Borowej i Padwi (w dyecezyi tarnowskiej) od pierwszej niedzieli postu do niedzieli Męki Pańskiej. W kościółku naszym gromadzą się zawsze liczne tłumy wiernych, konfesyonały oblężone, zwłaszcza w czasie jubileuszu Matki Boskiej, dość wspomnieć przeszło trzy tysiące Komunii św. rozdanych w czasie Tryduum. „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało“. Coraz więcej pochłaniają nasze siły nowe posterunki pracy, dlatego nie możemy tak służyć tym biedakom, u stóp M. Boskiej Lourdeńskiej błagających o przebaczenie, jakbyśmy tego pragnęli. Obok tych pocieszających szczegółów zapisać musimy smutne wspomnienia, jak bolesna i przykra choroba, a wreszcie nagła niemal śmierć br. Mateusza Lachowskiego.

Poczciwy i pracowity ten braciszek urodził się w Żulicach w parafii Białokamienieckiej przy Złoczowie, dnia 21. września 1879 r. Przyjęty przez konfratrów w rodzinnej parafii, posługiwał im skrzętnie przez kilka miesięcy. W r. 1905. przybył na Kleparz do postulatu, a 7. września otrzymawszy suknię misyonarską, zaczął Seminaryum. Choć z wielkim trudem, nauczył się nieco kucharstwa i rok przeszło pracował jako kucharz w Odporyszowie. Tam także z końcem stycznia b. r. pokazały się u niego pierwsze objawy rodzinnej choroby. Przewieziony na Kleparz 11. lutego i oddany do szpitala św. Łazarza, poszedł dnia 20. lutego po nagrodę do nieba. Świecił nam przez cały czas przykładem pracowitości,

chętnego i skorego posłuszeństwa, gorącej pobożności i zamiłowaniem cichego, ukrytego życia.

W połowie marca zaś zmarł również w szpitalu św. Łazarza siedemnastoletni zaledwie postulant na brata, Wojciech Deutsch, rodem z Błociszewa pod Śremem w W. Ks. Poznańskiem. Kilka tygodni zaledwie bawił wśród nas, bo przyszedł w listopadzie, a już w drugiej połowie grudnia zachorował i wkrótce przewieziono go do szpitala, a jednak żal po sobie zostawił dla swej rzewnej pobożności i dziwnego wyrobienia w tak młodym wieku.

„*Raptus est, ne malitia mutaret intellectum eius aut ne fictio deciperet animam illius*“. (Sap. IV., 11).

Jezierzany. Według sprawozdania rocznego, nadesłanego przez ks. Superyora Sokołowicza, rozwija się nadal bardzo pięknie praca duszpasterska w tej parafii. W miejscowym kościele i sąsiednich kaplicach wyspowiadano 9434 osoby, wygłoszono przeszło 250 nauk; w obrębie parafii (do szkół i kaplic) zrobiono 468 ekskursyi, poza parafię 208. Dano w ubiegłym roku także dwie misyjki w Lisowcach i Żabińcach. W pierwszym kwartale b. r. dawał ks. Superyor Sokołowicz rekolekcye „Dzieciom Maryi“ w Bursztynie przy licznym współudziale także innych pobożnych, później przebywszy olbrzymie zaspy śnieżne, urządził w Maryampolu u Sióstr Miłosierdzia i w kościele parafialnym uroczyste nabożeństwa z okazyi jubileuszu Zjawienia się Najśw. Panny w Lourdes.

Parana. — *Abranches.* — List Siostry Olsztyńskiej do Najczcigod. ks. Wizytatora z 9. grudnia 1907 r.

Korzystając z miłej sposobności, pozwolę sobie i o nas słów kilka napisać. Jak Najczcigodniejszemu Ojcu wiadomo, jest nas obecnie pięć na Abranches, dwie zajmują się szkołą, jedna z Sióstr ma szwalnię, jedna kuchnię, a piąta jeździ na Lamenię, kolonię, odległą od nas o godzinę drogi. Nie będę opisywała, jakiego doznałyśmy uczucia, ujrzawszy po raz pierwszy ukochane nasze Siostrzyczki! Nie mogłyśmy mówić ze wzruszenia, ściskałyśmy się tylko, powtarzając: więc Siostry przyjechały. Jakby nowe życie w nas wstąpiło, jakoś

nam raźniej, weselej na myśl, że więcej nas już na ziemi Parańskiej, że już nie same tutaj zostaniemy. Moje dotychczasowe towarzyszki pojechały z Siostrą Urbańską do Prudentopolis, a tutaj zostały cztery nowe misyonarki. Przyznam się, że chociaż uważałam w tej zmianie wolę Bożą i przekonaną byłam, że to wszystko dla dobra naszego, przykro mi bardzo było rozłączyć się z niemi. Kochałyśmy się serdecznie i przylgnęłyśmy więcej do siebie, dzieląc wspólnie początkowe trudy na misyi. Mnie się zdawało, że nową rozpoczynam misyę, tylko Czcigodny ks. Chylaszek dodawał mi odwagi i zachęty. Dzisiaj wszystko już minęło; dziękuję Bogu, że tak sprawami pokierował, widząc, że to jedynie dla dobra naszego. W kilka tygodni po wyjeździe byłam z jedną z Sióstr na Prudentopolis, śliczne tam położenie, dom piękny, wygodny, do tego nasi Czcigodni Ks. Ks. Misyonarze taką opieką otaczają Siostry, że nic więcej im nie trzeba. Siostra Suchoświat zdrowsza niż na Abranches, powietrze tam lepsze.

W uroczystość Objawienia się Cudownego Medalika odbyło się poświęcenie statuy Maryi Niepokalanej, a następnie po mszy św. egzamin w szkole. Piękny to był dzień. Naszą Niepokalaną Matkę, przybraną w zieleń i kwiaty, ustawiłyśmy przed domem. Zjechali Czcigodni Ks. Ks. Misyonarze z Thomas-Coelho, ks. Kominek z Luceny, ks. proboszcz Niebieszczański i cała kolonia ludu. Po dokonanym akcie poświęcenia zaniosły dziewczęta figurę w procesyi do kościoła, gdzie ją uroczyście umieszczono na ołtarzu. Ołtarz prowizoryczny tylko, bo nie można było na starym postawić tak pięknej figury, a na nowy nie ma pieniędzy, ale pomimo tego bardzo ładny. Pomalowany bladoniebiesko z białemi i złotemi ozdobami. Matka Boska pod baldachimem z niebieskiego i kremowego pluszu, całość ślicznie się przedstawia — wszystko zasługą Czcigodnego ks. Chylaszka, sam wszystko malował i przybijał. Po skończonem nabożeństwie udali się wszyscy do szkoły: najpierw egzaminował Czcig. ks. Kołodziej z religii, następnie Siostra Stroińska. Dzięki

Bogu, dość dobrze nam poszło, dzieci odpowiadały głośno i wyraźnie, znać było pewien rygor i sprężystość, co na gości dobre robiło wrażenie.

Dwa dni potem był popis na Lamenii, i tam dzieci dużo się nauczyły, koloniści ze szkoły bardzo zadowoleni. Dla nas prowadzenie szkoły na Lamenii ma trochę trudności; pominąwszy utrzymanie wózka i konia, gdyż tem zajął się Czcig. ks. Chylaszek, sama nauka jest więcej uciążliwa. Siostra wyjeżdża około godz. 8-mej, około 4-tej wraca do domu; obiad jada, gdy wróci. Chociaż wózek lekki, męczy taka podróż i nie można się już z takim zapałem oddać pracy, nieraz od rana śliczny dzień, około południa burza się sroży — jak to w Brazylii, często w jednym dniu cztery pory roku — a Siostra, jadąc odkrytym wózkiem, zmoczona porządnie; lecz cóż robić. Zresztą Siostra Jerzykiewicz, która się szkołą na Lamenii zajmuje, bardzo zadowolona ze swej misyi, a najnieszczęśliwsza, gdy deszcz pada i jechać nie może, zdrowa jest przytem i powiada, że te wycieczki wcale jej nie męczą. Później będzie można Siostry zmienić, gdy jednej będzie za trudno, lub podzielić się przedmiotami. Obecnie mamy do Trzech Króli wakacye, odpoczywamy, aby potem z większą gorliwością oddać się naszym zajęciom. A nie można tutaj próżnować, bo program szkolny z roku na rok rozszerzać musimy. Gdyśmy przyjechały przed trzema laty, wystarczało, że dzieci nauczyły się czytać, pisać i rachować, obecnie czegoś więcej wymagają: trzeba brać i gramatykę i geografię i historyę naturalną, słowem wszystkie przedmioty. Wokoło nas ciągle nowe powstają szkoły, prowadzone przez ludzi świeckich, chcąc nie chcąc, trzeba z nimi współzawodniczyć, nie można w tyle pozostać, owszem, koniecznem jest, by szkoły, prowadzone przez osoby zakonne, pierwsze zajmowały miejsce.

Nam dobrze tutaj, wesołe jesteśmy i szczęśliwe, lud bardzo przychylny, czasem serce zatęskni za tymi, których zupełnie zapomnieć nie może, lecz myśl, że taka wola Boża, dodaje nam zachęty do znoszenia tych małych przykrości.

Co do mnie, szczególniejsze miałam na misye powołanie, nie tęsknię, tylko przyznam się, że inaczej sobie wyobrażałam misyę, myślałam, że będę w głębi lasów, gdzie mnie nikt nie zobaczy, i takie było zawsze moje marzenie, a tutaj inaczej. Jestem jednak szczęśliwą. — Wczoraj rok minął, jak Najczcigodniejszy Ojciec był w Abranches. Czy prędko będziemy miały szczęście powitać Go znów u siebie? — Po odjeździe Najczcigodniejszego Ojca zapisał p. Preiss szkołę na Siostry, a ponieważ na Zgromadzenie nie można było, więc zrobił zapis na nas jako osoby prywatne. Głównie Najczcigodniejszemu Ojcu zawdzięczamy, że sprawa zapisania domu przyszła do skutku, to też proszę przyjąć chociaż tak późne, Najszczersze nasze podziękowanie za prawdziwie ojcowskie zaopiekowanie się nami; modlitwą serdeczną starać się będziemy choć w części spłacić dług wdzięczności. Dziękujemy także za łaskawą pamięć o nas biedakach i tam w kraju za obrazki, które odebrałyśmy niedawno. Jak błogo sercu, gdy się odbiera dowód, że pomimo oddalenia nie zupełnie o nas zapomniano. Dziękujemy również, że nam Najczcigodniejszy Ojciec dał ks. Chylaszka. Tyle mu zawdzięczamy: w każdej trudności poradzi, uspokoi. Co do potrzeb duchownych mamy również wszystko; co miesiąc podczas rekolekcyi ma ks. Chylaszek konferencyę. Ponawiając raz jeszcze najserdeczniejsze życzenia, załączam wyrazy najgłębszego uszanowania i wdzięczności od nas wszystkich

jestem

Najczcigodniejszego Ojca najpokorniejszą i najposłuszniejszą

córką

Siotra Olsztyńska

n. C. M. sł. u. Ch.

Kurytyba. — Nowy biskup. — *Gazeta Polska w Brazylii* z 5. marca b. r. podaje następującą notatkę z okazyi objęcia rządów dyecezyi Parańskiej przez nowego biskupa:

Nowo mianowany biskup Kurytyby, ks. Jan Braga, objął już rządy nad swoją nową dyecezyą. Dyecezya jego jest mniejszą, niż jego poprzednika, odpadł bowiem od niej stan

św. Katarzyny. Władzy jego podlega obecnie jedynie Parana, ta Parana, w której żyje około 80.000 Polaków. Nie jest zatem dla nas bez znaczenia fakt, kto zasiada w biskupim pałacu, nie jest bez znaczenia tembardziej, że z pomiędzy wielu narodowości, zamieszkujących Paranę, Polacy odznaczają się najwyższą z pewnością wiarą. Jesteśmy też szczęśliwi, że władza kościelna dała nam takiego pasterza, jakim jest biskup Braga, pasterza, do którego, sądząc z pierwszych jego kroków, będziemy się mogli zwracać z całem zaufaniem. Sympatyczną postać nowego biskupa mieli sposobność widzieć Polacy już dwa razy w tym krótkim przeciągu czasu, jaki w Kurytybie bawi. Pierwszy raz w czasie poświęcenia kamienia węgielnego pod kościół polski w Kurytybie, drugi raz w czasie poświęcenia dzwonów na Abranches. Sam fakt, że ks. biskup pospieszył tak chętnie na to poświęcenie, musi nas dla niego życzliwie usposobić. Staraniem naszem być musi, ażeby ta sympatya była obopólna, ażeby i biskup nabrał zaufania dla nas Polaków. Zadanie to dla nas trudnem nie będzie. Dostojny pasterz przybywa do nas bez żadnych do Polaków uprzedzeń, miarą jego postępowania wobec nas będzie zatem jedynie sposób, w jaki my do niego będziemy się odnosić. Ci wszyscy, którzy mieli szczęście zbliżyć się do nowego biskupa, odnieśli najlepsze wrażenie, że nowy pasterz Parańskiej dyecezyi zbliża się do wszystkich swoich owieczek, z sercem miłującego ojca, z umysłem, przejętym troską o ich dobro. Mamy nadzieję, że pomiędzy biskupem Bragą a Polakami wywiąże się stosunek pełen zaufania, pełen miłości i wzajemnej sympatyi. Wyższy umysł nowego pasterza nie da się kierować żadnymi postronnymi wpływami, my sami jedynie naszem postępowaniem zaskarbimy sobie jego względy lub niechęć. Jako naród wierzący, będziemy pracować nad tem, by względy sobie zapewnić, o niechęci niechaj mowy nie będzie. Witamy zatem ks. biskupa Bragę z radością, zaufaniem i nadzieją.

Pro memoria!

Confratres nostrae provinciae a Superioribus missi degentesque per interim in domibus Sororum Charitatis vel confratrum in aliis dioecesibus quoad iurisdictionem ad excipiendas SS. confessiones haec attendant:

1. In Dioecesi Cracoviensi confratribus ad tempus in domo Clepardiensi manentibus R. D. Superior Lewandowski ex delegatione Curiae Eppalis habet ius concedendi iurisdictionem.
2. In Dioecesi Tarnoviensi R. A. D. Visitator G. Słomiński necnon sacerdotes nostrae provinciae ex illius mandato vel licentia sive confratribus sive sacerdotibus saecularibus iuvamen ferentes, gaudent iurisdictione ad excipiendas confessiones quorumcumque fidelium. Quae facultas etiam ad casus reservatos extenditur.
3. In Dioecesi Premisliensi concessa est iurisdictio ad excipiendas confessiones fidelium cum facultate a casibus P. T. Sedi Ordinariae reservatis *ad d. 19. Dec. 1908.*
4. Intra fines Archidioeceseos Leopoliensis omnes sacerdotes nostri confratribus iuvamen ferentes vel in domibus sororum charitatis degentes gaudent iurisdictione usque ad revocationem.
5. In Dioecesi Vratislaviensi Rescripto Eminentissimi Georgii Cardinalis Kopp de die 27. Decembris 1908 r. concessa est nostris iurisdictio ad excipiendas confessiones Sororum tantum — usque ad revocationem.
6. In Dioecesi Posnaniensi gaudent nostri confratres iurisdictione ad quinque annos. (dat. d. 16. I. 1908).
7. In Dioecesi Culmensi. A. R. D. Visitatori Congregationis Missionis provinciae Cracoviensis, Domino Słomiński, omnibusque huius provinciae sacerdotibus de licentia vel ex

mandato ipsius D. Visitatoris Dioecesim Culmensem petentibus ad dies officii dicti Visitatoris iurisdictio excipiendi confessiones Sororum Caritatis S. Vincentii a Paulo necnon omnium Dioecesis Culmensis fidelium conceditur una cum facultate absolvendi a censuris et peccatis Episcopo reservatis (die 13. I. 1908).

8. In Dioecesi Warmiensi tandem procuranda est de casu ad casum iurisdictio.

Zmarli Misyonarze:

1. Br. Józef Micozzi, 19. stycznia, w Rzymie, żył lat 87, w Zgromadzeniu 63.
2. Br. Feliks Mac Mullin, 11. stycznia, w Cape-Girardeau, (Stany Zjednoczone), żył lat 77, w Zgromadzeniu 51.
3. Br. Filip Lynch, 27. stycznia, w Cork (Irlandya), żył lat 71, w Zgromadzeniu 41.
4. Ks. Hubert Prause, 5. lutego, w San José (Costa-Rica), żył lat 36, w Zgromadzeniu 19.
5. Br. Ceciniusz Samia, 10. lutego, w Tripoli (Syrya), żył lat 65, w Zgromadzeniu 28.
6. Kl. Wincenty Hourquet, 13. lutego, w Dax, żył lat 26, w Zgromadzeniu 6.
7. Br. Mateusz Lachowski, 20 lutego, w Krakowie, żył lat 29, w Zgromadzeniu 3.
8. Ks. Robert Geisen, 22. lutego, w Lowanium (Belgia), żył lat 36, w Zgromadzeniu 17.
9. Ks. Kuźma Mivielle, 24. lutego, w Limie (Peru), żył lat 72, w Zgromadzeniu 50.
10. Br. Filip Ciminari, 20. lutego, w Rzymie (na Monte Citorio), żył lat 81, w Zgromadzeniu 50.
11. Ks. Józef Coliètte, 27. lutego, w Konstantynopolu, żył lat 52, w Zgromadzeniu 33.
12. Ks. Karol Andrieux, 25. marca, w Dax, żył lat 75, w Zgromadzeniu 50.

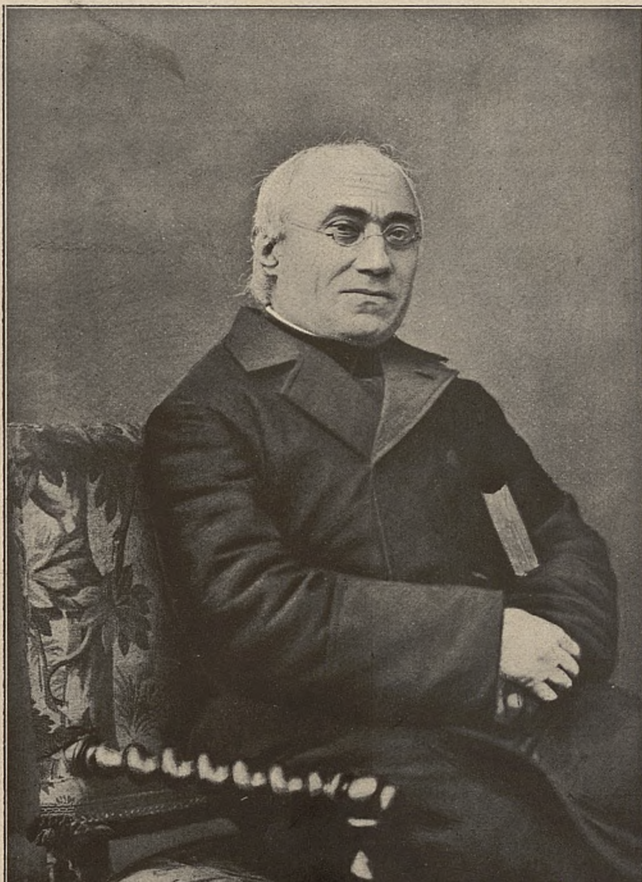
Siostry miłosierdzia:

S. Paulina Kulesza, um. w szpitalu św. Wincentego we Lwowie 13. lutego, żyła lat 78, w Zgromadzeniu 55.

S. Barbara Zamelczak, 17. lutego, w Domu św. Maryi Magdaleny we Lwowie, żyła lat 49, w Zgromadzeniu 26.

S. Domicella Dietrich, 6. marca, w szpitalu św. Łazarza w Krakowie, żyła lat 69, w Zgromadzeniu 51.

R. I. P.



Najprzewielebniejszy O. Generał A. FIAT

1858 — 1908.